№ 51. Warszawa, dnia 10 (22) Grudnia 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

UWAGI KOBIETY

nad dziełem D-ra Edwarda Reicha

Studya nad kobietą.

(Dalszy ciąg).

Przy wyborach rada kobiet może być bardzo znaczącą, opiniuje D-r R. — kobiety bowiem mają dar poznawania ludzi i szczególną zdolność szacowania każdego, stosownie do rzeczywistej jego wartości. Pożytecznem więc będzie gdy mężczyzni postarają się tę zdolność ich zużytkować—lecz o przypuszczeniu kobiet do powszechnego głosowania, któżby pomyśleć mógł naprawdę.

Z tego się dowiadujemy, że pokątnie zasięgać rady u kobiet i wyciągnięte ztąd korzyści obracać ku swojej chwale, jest rzeczą słuszną, godziwą i nie obrażającą wyższości mękiej, ale gdyby ten sam mężczyzna położywszy rękę na sercu wyznał sumiennie i szczerze, że ponieważ uznaje w kobiecie niezaprzeczoną zdolność wyborczą, więc tak ze względów słuszności jak dla pożytku, który ztąd ogół osiągnąć może — czuje się w obowiązku obywatelskim powołać kobietę do głosowania — taki lojalny postępek ze strony mężczyzny, byłby według autora Studyów czynem uwłaczającym honorowi męzkiemu.

Jakiż to dziwny ten honor męzki!

I niestety, nie sami tylko niemcy tak go rozumieć zwykli.

Powiedział ktoś kiedyś w jednem z pism naszych peryodycznych, nie pomnę wszakże gdzie i kiedy, że kobiety nie powinny nigdy pozyskać praw do głosowania powszechnego, na podstawie nietykalności rodziny, bo oto właśnie zdarzyło się w Anglii, że córka jakiegoś lorda poróżniła się z ojcem, który zmienił zdanie i z obrońcy stał się przeciwnikiem uchwały projektującej dopuszczenie kobiet do głosu na wyborach. Ja myślę, że komu już tak koniecznie idzie o nienadwerężenie węzłów rodzinnych, ten powinien również protestować przeciwko temu, aby syn pełnoletni wotował pokąd żyje ojciec — i następnie zalecać, aby po jego śmierci, przy głosie jednego tylko z braci pozostawiać, albowiem zatargi mogą tak dobrze powstawać pomiędzy ojcem a synem, jak pomiędzy ojcem a córką—i niezgoda równie szerzyć się może tak pomiędzy braćmi jak pomiędzy siostrami.

A także nie wypada chyba pociągać do odpowiedzialności dzieci zbrodniarza, które w ślady ojca wstępują — i obrzucać błotem potępienia nierządnicy, jeśli ona w tem naśladuje ojca, gdyż ściśle rzeczy biorąc, każde odstępstwo dziecka od ojcowskich przekonań, bądź w złem, bądź w dobrem, będzie koniec końców zawsze, zakłóceniem rodzinnego porządku.

Jacy ci mężczyźni gorliwi bywają o spokój i dobro rodziny tam, gdzie się spór toczy o prerogatywy kobiety. Doprawdy czasem wygląda to tak zupełnie, jak gdyby rodzina obowiązywała li tylko płeć naszą.

Pieczołowitość swoją o szczęście kobiet D-r R. posuwa tak daleko, że radby nawet uprzyjemnić im chwilę skonu — i zastanawia się głęboko nad tem, jaki rodzaj zajęć, jaki rodzaj przekonań i jaki rodzaj religii najbardziej odpowiada najlżejszemu dla nich rodzajowi śmierci. Zbyteczna to naprawdę o los nasz troskliwość... i niewypowiedzianie wdzięczne byłybyśmy autorowi, gdyby zechciał był zostawić nas w spokoju, chociaż w tym ostatecznym uroczystym momencie, a co byłoby nie od rzeczy tembardziej, że wszechmocna jego prawica, tak niewiele zdziałać na tem polu może.

Chociaż dla badacza zapatrującego się na ludzkość zbiorowo, kobieta nie jest czem innem jak tylko kobietą — a mężczyzna, mężczyzną — indywidualność tak jednych jak i drugich, tak ogromną rolę odgrywa w życiu każdej jednostki, że jedno i to samo — wszystkich, nigdy zadowolić nie zdoła. Studya wszelkie nie na wiele się tu przydadzą, a śmierć, to niezawodny wielki punkt zgodny, co do jakości którego, nieuniknione prawo natury przeprowadziło zupełne równouprawnienie, bez współudziału uczonych.

Najciekawszym faktem z przebiegu całej książki, jest to, że D-r R. widzi się ostatecznie zmuszonym wyznać, że w obec dzisiejszych stosunków społecznych, emancypacya kobiet ma niezaprzeczone prawo bytu. I wartoż było walczyć tak zapamiętale w ciągu 297 stronic przeciw emancypacyi, aby na 298 napisać, prowadząc rzecz o nacisku, jaki moment obecny wywiera na płeć niewieścią, zmuszając ją do wstępowania na nowe drogi i do szukania nowych sposobów zarobkowania: „Otóż, mówi się, że emancypacya kobiet stanowi tu środek zaradczy i że jedynie tylko przez otworzenie kobietom wszelkich zawodów zdołamy posiąść możność polepszenia stosunków zarobkowych płci żeńskiej. Z ograniczonego punktu widzenia teraźniejszości, zatopionej i zakrzepłej w ekonomii społecznej, dla której człowiek bez wyjątku jest ino machiną roboczą, ma to rzetelną swą stronę; atoli gdy się wzniesiemy po nad ten wielce zacieśniony punkt widzenia i spojrzymy szerzej wstecz i naprzód, wydaje się nam jakoby istotnym środkiem zaradczym nie była emancypacya kobiet, ale gruntowna poprawa wszelkich stosunków ludzkich, przez użycie siły dobrej woli człowieka; jeżeli bowiem ma się lepiej dziać na świecie, jeżeli kobieta ma pozostać w obrębie naturalnego swego powołania, dla szczęścia i zbawienia rodu ludzkiego, (czytać należy rodu męzkiego. Przyp. autorki), musimy poważnie dobra pragnąć.

Cóż pozostaje innym, kiedy tak zawzięty nieprzyjaciel emancypacyi jak D-r R. nie mógł uniknąć

wyrzeczenia tego strasznego słowa, że emancypacya kobiet ma *rzetelną swą stronę* — wprawdzie z wielce zacieśnionego punktu widzenia, ale w każdym razie z punktu widzenia ekonomistów, a ci *ograniczeni* ludzie o ile wiem, zajmują tak zaszczytne stanowisko w świecie naukowym, że prawdopodobnie nie wiele sobie ważyć muszą opinię, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych panów fizyologów.

Pewność z jaką w Studyach swoich występuje D-r R. przeciwko emancypacyi, kazała się domyślać, że autor wynalazł jakiś środek zaradczy, stanowczy i nieomylny, którym zadać ma cios ostateczny tej pladze trapiącej biedną ludzkość — i uwaga czytelnika jest mimowoli przykuta do tej myśli przewodniej, zdającej się być punktem ciężkości przedsięwziętego dzieła. Jakże jest wielkiem nasze zdziwienie, gdy się dowiadujemy, że tym środkiem radykalnym jest odwołanie się do *siły dobrej woli człowieka*.

Środek to za słabego działania na tak gwałtowną chorobę, za jaką D-r R. ma emencypacyą, a powolność jego można śmiało uważać za odwrotnie proporcyonalną do szybkości z jaką mnoży się proletaryat niewieści.

Ale czyliż powinno nas to zdumiewać, że w kraju, który stał się ostatniemi czasy kolebką filozofii pesymistycznej—w kraju, w którym człowiek zanim uzyskać zdoła stopień uczonego, przechodzić musi nowicyat błazeństwa — to jest burszowstwa... kwestye społeczne rozwiązują się za pośrednictwem utopii?

Nie przeczę że: „najwyższą niesprawiedliwością, jaką płeć męzka popełnia względem niewieściej, jest niemiłosierdzie i wyzyskiwanie kobiecej pracy roboczej, za wynagrodzenie niewystarczające na opędzenie choćby najskromniejszego bytu.“ Cóż jednak upoważnia nas do upatrywania źródła tej niedoli w złem sercu ludzkiem, kiedy serce w takich kwestyach może co najwyżej, do pewnego stopnia złe łagodzić, ale złemu zaradzić nie jest w mocy. Ten chyba kto widzieć nie chce, nie widzi, że obecne smutne koleje niewieściej doli, są aż nadto jawnym wynikiem zbytecznej konkurencyi i następstwem więcej niż naturalnym ograniczenia zawodów, uznanych za odpowiednie dla pracy kobiety, i że to one szczególnie, nie zaś brak serca prowadzą do obniżenia płaty. Z najgorszem sercem fabrykant lub rolnik zapłaci bez oporu drogo, jeśli inaczej nie dostanie robotnika — z najlepszem płacić będzie tanio, skoro ku temu zniewolą go sami wyrobnicy w okolicach przeludnionych. Wszak wymowny przykład czegoś podobnego mamy i u siebie na szwaczkach, zmuszonych przed rozpaczliwą grozą nędzy szukać ucieczki w prostytucyi.

Nic darmo — nazywa D-r R. nędzną zasadą... jak w jakim wypadku. Co się kobiet tyczy, od chwili kiedy uczuły się one rzeczywistymi ludźmi, nędzna ta zasada stała się ich hasłem i na niej zbudowały gmach swojej osobistej godności. W ślad za tem mogę stanowczo upewnić każdego, że nauka i praca nie są dla nas bynajmniej tak zatrważającemi jak sądzi autor, a gdyby nadeszły nawet owe czasy błogie, nadejścia których szczerze same pragniemy, w których: „zastąpionym będzie przez naturalne stosunki, nieszczęsny system ekonomiczny, niedorzeczny porządek społeczny, jako też niemiłosierdzie i niesprawiedliwość, która tak wielką liczbę kobiet skazuje na życie nienaturalne w bezżeństwie lub nędzy, albo też w jednem i drugiem zarazem“, to w takim razie wątpię czy kobiety zrzec się zechcą praw do nauki i samodzielnej pracy, bo nauka, jeśli nie jako środek, to jako cel sama w sobie, jest rzeczą szczytną, dającą prawdziwe szczęście każdemu kto ją umiłuje, a praca przynosi nam zadowolenie wewnętrzne.

(*d. n*).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział VII.

Franek wybiegłszy na podwórze przeszedł koło okien tak go zajmujących, ale choć pilnie śledził wypatrzeć nic nie mógł; podsunął się potem pod drzwi od sieni, zajrzał przez dziurkę od klucza i ujrzał pustą małą kuchenkę z różnemi odpowiedniemi przyborami. Z mieszkania żaden głos nie dochodził, tylko jakiś niezrozumiały dla niego szelest, przerywany cichym brzękiem metalicznym i szurganego niby krzesła przesuwanego przez siedzącą na nim osobę. Od tych tajemnych śledzeń spłoszyła go sługa schodząca z góry z konewką po wodę.

— Panienko, zapytał, kto tu mieszka?

— A kto ich tam wie! odrzekła sługa kuląc ramiona, podobno jakieś szwaczki ale prędzej jakie latawice, bo się tak kryją i zamykają, że wszyscy aż się dziwią. Raz był tu u nich jakiś stary pan i drugi podżyły z wąsami jak dzidy, to tak się śmiały i chichotały, że słychać było w bramie. Najczęściej jednak zachodzi wieczorami jakiś młodzik cienki, chudy, z długą szyją i ten podobno ma się żenić z jedną. A jest ich dwie i matka wdowa, to ma w czem wybierać. Z domu rzadko wychodzą, to je nie często widuję, ale jak się która wybierze do Warszawy, to wystrojona jak łania, suknia szeleści, łańcuszek z zegarkiem kołysze się przy boku, i idąc pawi się jak jaka bogaczka a nie szwaczka co z igły żyje.

Nazwa szwaczki przykre na Franku zrobiła wrażenie. Miałażby ta, co przypuszczał że ją widział w sennej wyobraźni podczas choroby, być szwaczką jak Józia, dla której dziś czuł jedynie wzgardę i obrzydzenie? Z widziadeł tych spotkał już jedną Zosię, w ludzkiej wprawdzie postaci, bez skrzydeł anielskich i obłoczystego otoczenia, ale nic nie tracącą na ideale w jaki ją przystroił. Drugi jego anioł opiekuńczy musiał być podobnym do Zosi, nawet przewyższać w wymarzonym przez niego uroku, nie mógł więc być szwaczką, a przynajmniej nie taką jak Józia. Niezadowolony z danych objaśnień, poszedł do szynku w tym samym domu mieszczącego się. Szynkarka siedziała zasapana po świeżo odbytej sprzeczce z jakimś wyrobnikiem o dobroć trunku sprzedawanego.

— Panie odpuść! zawołała oburkliwie na zapytanie Franka. Czy to ja mam czas ludźmi się zaprzątać, kiedy lada kto burmistrzuje mi w sklepie jak u siebie! Kto tam mieszka nie wiem, ale jest ich trzy, dwie młode jak synogarlice co z gniazda wyfrunęły, i jedna stara, zapewne matka, co się nazywa pani Mikłocka. Ale państwo to strasznie chude, aj strasznie chude! krzywiąc się i trzęsąc głową mówiła szynkarka, bo co która wyjdzie na miasto to niby z elegancyą w jedwabiach i złotym łańcuchu ale tak to wszystko podobne do siebie, jakby tylko z jednej przeszło na drugą bez żadnej zmiany.

— A jak córki wyglądają. Czy jedna....

— O! jak to znać *mężczyńską* naturę! przerwała szynkarka. No, zwyczajnie jak młode dziewczyny, mają oczy, nos, usta i rumiane buziaki, to i czegóż więcej trzeba.

Franek poszedł do sklepu z mąką i krupami obok szynku znajdującego się. Przekupka była małomówną i niezmiernie nabożną; usłyszawszy zapytanie o panią Mikłocką, westchnęła, wzniosła oczy w górę i składając ręce pobożnie odrzekła:

— Pani Mikłocka winna mi już dwa złote i jeszcze się kredytu doprasza.

— Ale co to za jedna nie wie czasem pani?

— Letnia już kobieta, ale do kościoła tylko w święto chodzi i to nie w każde.

— A córki jej?

— Oj! z dziećmi to i szczęście i zmartwienie według dopustu Bożego. Miałam ich dwoje... straciłam, leżą przy sobie w dwóch mogiłkach na Powązkach i zawsze w dzień zaduszny palę na nich lampki.

Przy tych słowach przekupka poniosła ręce do oczów, a że przyszło do sklepu kilku kupujących, Franek przekonawszy się że wybadywania dalsze są już niepodobne, wyszedł nic się prawie nie dowiedziawszy. Wprawdzie domyślał się że osoby które śledził, muszą być biedne, skoro u przekupki zadłużyły się na dwa złote, że dwie panny są siostrami a matka wdową, ale nie był pewny z czego się właściwie utrzymują i czy domysł jego, że w jednej z tych kobiet poznał twarz sennego swego widziadła, jest prawdziwym.

Franek tak dobrze jak nic nie zrobiwszy, poszedł do miasta dla zobaczenia się z towarzyszami swemi Władkiem i Józkiem, ale nie znalazł ich obu i nie mógł dowiedzieć się zupełnie gdzie się obecnie obracają. Kiedy wieczorem wrócił do izdebki, Antoni zajęty przygotowaniem posłania do spoczynku, przypomniał sobie zapytanie Franka rano zrobione.

— Ale, ale, rzekł, pytałeś się o te lokatorki z oficyny.

— A tak, i cóż?

— Powiedziała mi nasza kucharka, ta sama co to naplotła o salcesonie, że się nazywają Mikłockie, i że ich nasi rzeźnikowie bardzo lubią. Powiadała także że idzie do nich i pieczone i warzone, salcesony, serdelki, kiełbasy, kiszki, słonina, tfu! do stu sęków! Człowiek co pracuje i za furmana i za stróża, i za parobka i za pastuchę, to jednem jadłem musi się cieszyć a obcy zajadają frykasy. Nie, nie wytrzymam dłużej...

— Ale co to za jedne, jak wyglądają, czy mają włosy...

— Człeku, przerwał Antoni, a ktoby się tam o tyle wypytywał. Muszą być uczciwe i wypłatne, bo nasi rzeźnikowie takie tylko lubią i choć prostaki ale z byle kim nie zadają się; muszą być także młode, bo żeby im dali całego wieprza, to tylko zakręcą się i już go nie ma. Stary nie ma takiej chęci do jadła, ja na ten przykład kolacyi nigdy nie mogę dojeść. To tak z delikatności, mówił dalej z westchnieniem, żeby co smacznego to prędzejby się zjadło. Ot dziś na kolacyę dali krupnik z mięsiskiem i kluski ze słoniną, jakże tu jeść takie grube rzeczy. Nie, od Ś-go Jana odejdę...

— Mówił pan, przerwał Franek, że dopiero od Ś-go Michała.

— Tak powiedziałem? Niechże będzie od Ś-go Michała, ale już na pewniaka.

— No to już razem ze mną; bo ja bez pana Antoniego nie wytrzymałbym.

Antoni spojrzał na Franka z pod oka, jakby chciał przekonać się czy nie żartuje, ale nie dopatrzywszy nic takiego coby podejrzenie jego usprawiedliwiało, stanął naprzeciw niego i muskając wąsy zapytał:

— I ty to naprawdę mówisz że nie wytrzymałbyś beze mnie, choć cię nie uczęstowałem niczem?

— Panie Antoni, czy to przyjaciela kupuje się poczęstunkiem?

— A czemże? mruknął Antoni z podziwem spoglądając na młodzieńca.

— Czem? A sercem, poczciwością i życzliwością, to więcej znaczy jak poczęstunek, choćby nie wiem jaki.

— Franusiu, mój Franusiu! zawołał Antoni wyciągając rękę do Franka. Słów takich już dawno nie słyszałem, choć zdaje mi się, że krążą koło mnie i brzęczą jak muchy w lesie. Dawniej inaczej było... dziś człek w poniżeniu, każdy na nim utyka, ni wygody, ni uważania, ni ubioru... Et! nie ma co gadać, a co w sobie czuję, mówił Antoni uderzając się w piersi po kilka razy, tu, tu, to choćbym do jutra gadał tobym nie wygadał.

Na zakończenie machnąwszy ręką zaczął się rozbierać i choć spać lubił nie zasnął jednak zaraz, ale wzdychając coś mamrotał niezrozumiale. Franek równie długo nie usnął; w myśli krzyżowała mu się ciągle wypatrzona twarz z za firanki ze szczegółami pozbieranemi od sługi, szynkarki i przekupki. Nie wiedząc dla czego, ale czuł że one tak jakąś mają odrębną barwę od mar jego wyobraźni, tak je odzierają z uroku jakim je otoczył, że myśląc długo i zastanawiając się doszedł wreszcie do wniosku, że był pod wpływem złudzenia, i że twarz którą przypadkowo zobaczył należała do osoby zupełnie mu obcej. Dla lepszego jednak rozwikłania męczących go wątpliwości, postanowił zaraz przy pierwszej sposobności zobaczyć się z panią Adamową i z panem Prosperem, gdzie Zosię mógł raz pierwszy zobaczyć.

Na drugi też dzień przede wszystkiem zajął się wyszukaniem dla siebie zarobku, ale nic się jakoś korzystnego nie nastręczyło. Poszedł więc do Berka czy do piasku lub żwiru nie potrzebuje robotników, a po drodze nawiedził panią Adamowę, u której dotąd nie był jeszcze i nawet nie podziękował za odebraną opiekę.

Siedziała jak zwykle na stołeczku pomiędzy różnemi wiktuałami wiążąc makówki w małe pęczki. W pierwszej chwili nie poznała Franka, tak się zmienił korzystnie, ale gdy zarumieniony i promieniejący radością, przybliżył się dla ucałowania ręki, przypominając chwilę poznania z nim, pani Adamowa tak się na stołku poruszyła nagle, że o mało z niego nie spadła.

— To ty mój chłopcze! zawołała składając ręce. Jakże mi się zmieniłeś i wyładniałeś.

— Tak, to ja proszę pani, coście mnie państwo poratowali.

— Ach, mój Boże, cośmy mieli z tobą strachu! i znowu pani Adamowa załamała ręce.

— I czegóż tam imość tak się dziwisz i załamujesz ręce? zapytał jakiś głos z wnętrza mieszkania.

Franek obejrzał się i zobaczył pannę Katarzynę, ową śmieciarkę nędznie ubraną przy spotkaniu pomiędzy szychtami, dziś wystrojoną do niepoznania. Miała na głowie świeży czepek tiulowy ze wstążkami i kokardami, biały kołnierzyk, suknię całą starannie wyprasowaną, na ramionach dużą chustkę wełnianą z wielkiemi kwiatami, a na nogach trzewiki i białe pończochy. Franek patrząc na nią zdziwiony milczał, jakby przestrachem przejęty.

— I czegóż asan patrzysz na mnie jak na raroga? zapytała Katarzyna stukając gniewnie nogą w podłogę.

— Czyż asanna go nie poznajesz? zapytała Adamowa. Toć to ten młody, coś go w zimie z pod szycht przyprowadziła.

— Co — co? To on? A bodaj cię kaczki nie zdeptały...

— Tak, to ja proszę panny Katarzyny...

— To czegóżeś asan patrzył we mnie jak w tęczę, jakbyś mnie nie poznał?

— Poznałem, tylko się jakoś tak wszystko na pannie zmieniło...

— A to imość temu winna, odezwała się Katarzyna zwracając się z gniewem do Adamowej. Tak, imość temu winna że robię z siebie dla ludzi dziwowisko, bo ja już nie żyję dla świata, tylko dla siebie i gałgan własny milszy mi jak te wszystkie stroje.

— Przecieć one nie cudze tylko asanny.

— Ba! jeszczebym w pożyczanych chodziła! Ale i te dawnoby już nie zawadzały, gdyby nie opieka imości nieproszona.

I zwracając się do Franka mówiła dalej wskazując na Adamową i przysiadając przy każdym wyrazie:

— Poskłada, pochowa, każe ponaprawiać, wyprać, wyprasować i potem jak sobie w głowie ułoży, weź i weź! tak i biorę, bo z imością nic nie poradzi, taka uparta jak kozieł. A może i asan taki sam, bo mężczyzni to ziółka... jeden tylko był inny, ale ten tam, u Boga...

Wszystko to Katarzyna wypowiedziała szybko i gniewnie i przy ostatnich słowach spuściła smutnie głowę poprawiając niecierpliwie mankietki.

— Idziesz przecie asanna do siostry, odezwała się Adamowa, toć się należy przyzwoicie ubrać...

— Do siostry, do siostry! fuknęła Katarzyna. A cóż to ona ode mnie lepszego? Bogaczka, to prawda, ale ja tak od imości jak od niej nic nie potrzebuję, chociaż zawsze wpraszacie się imość z garnuszkiem a tamta z jakim przyodziewkiem. Że imość czasem zastąpię w sklepie i nie zatafluję ani grosika, że dzieciom siostry dam po pierniczku, to dla tego że lubię ludziom dopomagać i patrzeć jak się dzieciny radują i wyciągają rączki po podarunki, ale nie dla tego żeby mi za to płacono. Ja sama sobie płacę radością jakiej wy bogacze nie macie i chcecie mi tę radość odebrać? Nie, nie oddam jej, mówiła dalej z pewną rzewnością w głosie jakby łzy gwałtem cisnące się tamowały jej mowę: wolałabym umrzeć jak stracić ten skarb najdroższy. On mnie pociesza i uszczęśliwia, smutek i tęsknotę w raj zamienia, a wy rozbójnicy chcecie mi go odebrać, żebym była jak wy smutna i wzdychająca? O niedoczekanie wasze! nic od was nie chcę, nic, nic, nic A asan co chcesz? zapytała zwracając się nagle do Franka. Po coś tu przyszedł?

— Ej! dałabyś asanna pokój! odezwała się Adamowa podnosząc ramion. Jeszczeby kto sądził, żeś asanna nie przy pełnym rozumie...

— A! że nie przypochlebiam się, wrzasnęła Katarzyna z szyderstwem, że rżnę prawdę jak Bóg przykazał to wiem że mnie robicie nawet waryatką. Mniejsza o to, wolę ja swoją waryacyę jak wasz rozum głupi, jak świat cały i my na nim z przeproszeniem.

To rzekłszy mamrocząc wyszła ze sklepu, ale natychmiast wróciła i wyjmując z kieszeni tabakierkę zapytała:

— Czy to imość włożyłaś ją do mojej kieszeni?

— A któżby inny? Asanna byłabyś zapomniała jak to często zdarza się gdy ja nie przypomnę.

— Hm: to prawda... to prawda, mruknęła Katarzyna kręcąc w ręku tabakierką. Poczciwa imość jesteś a ja złośnica jakich mało, ale to już taka moja szkaradna natura. Nakrzyczę, nahałaszę i potem mi żal... wielki żal.

Jak kto dobrze mi robi, to się gniewam, bo muszę go kochać, a mnie niewolno sercem się dzielić... już ono nie moje. To wielkie dziwactwo, ale co to ludziom szkodzi? Imość taka poczciwa, a ja... a ja...

Mówiąc to objęła Adamową, oparła głowę na jej ramieniu i głośno załkała.

— Dajże asanna pokój, tuląc płaczącą odezwała się Adamowa, bo niechże ja się jeszcze rozpłaczę, to kto pomyśli żeśmy obie zwaryowały.

— Tyś taka dla mnie dobra, taka poczciwa, szeptała Katarzyna z jednem zawsze rozrzewnieniem.

— I tyś poczciwa, przerwała Adamowa, bronisz mego dobra jak własnego i jesteś dla mnie jak najlepsza przyjaciółka jakby matka...

— Chyba córka, poprawiła Katarzyna łzy obcierając, przecieć wiesz imość że jestem panną.

— Ależ asanna starsza ode mnie, odrzekła Adamowa wycierając nos i oczy.

— Co też imości w głowie się przewraca! odparła Katarzyna. Już cztery lata jak imość owdowiałaś i masz syna jak drągal pod wąsem i miałabyś być młodszą ode mnie co jestem panną.

Adamowa machnęła ręką i potrząsnęła głową, a zobaczyszy że Katarzyna zabiera się do odejścia, przyciągnęła ją do siebie i zajęła się poprawą zrujnowanego cokolwiek ubrania. Przez czas tej czynności Adamowa mruczała na pomięte wstążki i kołnierzyk a Katarzyna na zrobienie jej starą babą, przypuszczalną nawet matkę kobiety wdowy i matki drągala syna. Wspólna ta rozmowa żadnej z nich nie robiła najmniejszej różnicy: każda z nich mruczała sobie jakby uszów nie miały i nie stały tuż przy sobie. Franek patrzył, słuchał i nie mógł zrozumieć tego serdecznego związku dwóch kobiet już niemłodych, które pomimo łączącej je przyjaźni w ciągłej niemal żyły z sobą sprzeczce. Szczególniej rozrzewnienie jakiemu uległy, wywarło na niego wielkie wrażenie. Wychowany nie pod rodzicielskiem okiem, przechodząc od ręki do ręki jak koń na targu sprzedawany, uczuć poruszających serce nie znał prawie. Płakał gdy był głodny lub uczuł ból kary gniewem wymierzonej: śmiał się gdy było z czego choćby z twarzy wykrzywionej cierpieniem, gniewał jeśli uczuł się czem pokrzywdzony, ale rozrzewnieniu nie uległ jeszcze ani razu. Pierwszy to raz dopiero zapoznał się z niem, serce zabiło mu silniej, oczy zwilgły, twarz zapałała rumieńcem.

— Co to za ludzie? pomyślał sobie. Między nadwiślakami takich nie znajdzie. Widzę że płaczą, a jednak cieszę się w sobie jakby w radości. Jedno drugiemu nie robi krzywdy a kłócą się, pomagają sobie skrycie a głośno mało to ważą! No, no, takich ludzi jeszcze w życiu swojem nie spotkałem.

Ulegając wpływowi wewnętrznego wzruszenia, Franek zbliżył się do Adamowej i pocałował w rękę, ale panna Katarzyna ujrzawszy chłopca jak podsuwa się ku niej z wyciągniętą ręką, szarpnęła się i podnosząc hardo głowy zapytała:

— A to co?

— Chciałem pannę pocałować w rękę...

— W imię Ojca i Syna! zawołała oburzona. Czyste fiksum! Wiedz asan, że nie dla psa kiełbasa ani sadło dla kota. Także mi elegant!

— Ha, ha, ha! zaśmiała się Adamowa, swatów, widzę tylko patrzeć.

Katarzyna tak spojrzała na Adamową jakby ją przebić chciała, przekupka śmiała się z jedną zawsze serdecznością.

— Eh! nie lubię takich furfańskich chichotów! zawołała Katarzyna tarmosząc czepek na głowie.

Chłopiec plecie jak w gorączce a imość hihi i hihi jak półgłówek!

— Może i w gorączce jestem, odezwał się Franek, bo od czasu jak spotkałem pannę Katarzynę przy szychtach drzewa, tak dziwne rzeczy ze mną się dzieją...

— A i cóż takiego? zapytała Adamowa wracając do zwykłej powagi i z zadziwieniem przypatrując się zmiętoszonemu czepkowi panny Katrzyny.

— Sam nie wiem, i dla tego nawet przyszedłem tu żeby się rozmówić z państwem, może mi co poradzicie.

— No, to gadaj asan, tylko prędko, odezwała się Katarzyna, bo nie mam czasu, a flegmusów jak pan Prosper nie lubię, oj! nie lubię, nie lubię, i tupnęła nogą.

— Długoby o tem gadać, odezwał się Franek po małym namyśle. Nie wiem czy to było we śnie, czy w gorączce, ale widziałem dwóch archaniołów unoszących się nade mną w obłokach...

— Dwóch archaniołów! przerwała Adamowa i przeżegnała się z pobożnem westchnieniem.

— A i czegóż się imość żegnasz jak od dyabła! krzyknęła Katarzyna, i mrucząc przeszła się po sklepie.

— Tak, proszę pani, widziałem dwóch archaniołów ze skrzydłami jak to na obrazach w kościele, i tak się we mnie przyjemnie wpatrujących, tak się jakoś litujących, że zdało mi się iż jestem w raju. Tak mi było lekko, tak swobodnie ale to niedługo trwało. Chciałem do nich coś przemówić, wyciągając ręce... ale nie mogłem.

— To tak we śnie zawsze, przerwała Katarzyna trzęsąc głową. I mnie we śnie, to język jakby przybity nie chce nawet ruszyć, choć radabym gadać bez końca.

— Ale to nie sen był, to wyraźnie było na jawie.

— Na jawie widziałeś archaniołów? zapytały obie kobiety z największym podziwem.

— Tak na jawie, bo jeden z tych archaniołów był podobny do panny Zofii...

— W imię Ojca i Syna! odezwała się Adamowa a Katarzyna zaraz dodała:

— Toć imość przeżegnaj się kiedy wymawiasz te wyrazy.

Adamowa spełniła poprawkę z dwoma nawrotami co nową wywołało uwagę ze strony Katarzyny.

— Czyżby to mogło być, odezwała się Adamowa, żeby archanioł miał na siebie postać Zosi przybierać?

— Ja nie wiem, ale że ją widziałem w takiej postaci tobym zaprzysiągł w samym kościele.

— Ha! kto tam odgadnie wyroki Boże, odezwała się Adamowa, może i tak było.

— Co też asani gadasz, wtrąciła Katarzyna, czyż to Zosia taka piękna czy co, żeby archanioł miał się w jej urodę przystrajać.

— Ja tam o tem wyrokować nie mogę, odezwała się Adamowa, ale wiem że w mocy Bożej wszystko jest podobne. Zosia choć młoda dziewczyna a przeszła już biedy bardzo ciężkie. Straciła ojca i żeby nie brat mój Prosper toby musiała pójść na potyrkę między ludzi. Miała pójść za mąż ale źli ludzie tak zakręcili że ona teraz tu a kawaler gdzieś w dalekim świecie.

— A gdzie panna Zofia przed tem mieszkała?

— Gdzieś tam na Litwie, czy na Podolu, ale daleko bardzo od nas daleko.

— I nie dawno do Warszawy przyjechała?

— Kilka tygodni dopiero.

— Już przeszło osiem, mruknęła Katarzyna z nieukontentowaniem. Imość wyraźnie kradnie jej lata żeby się młodszą wydawała.

— A czemże był ojciec panny Zofii?

— Nie wiem moje dziecko, czy propinatorem czy fabrykantem, czy dzierżawcą, dość że był czemsić i że dobrze mu się działo. Brat Prosper wie wszystko ale ja tam nie mam głowy do tego. Jak mi opowiadał o Zosi to ja myślałam o wiązkach drzewa co mi ich zaczynało brakować, a potem już nie chciał o tem mówić, bo powiedział, że jak myśli o krzywdzie Zosi, to mu się żółć ulewa.

— To już nie wiem co to znaczy wszystko? szepnął Franek jakby do siebie.

— Śniło się asanowi i koniec! odrzekła Katarzyna. Żebym była kabalarką tobym wywróżyła, ale pani Adamowa ma sennik i wykoncypuje wróżbę. Pamiętam że młoda dziewczyna we śnie, to znaczy żmiję co kąsa jadowicie...

— Ej! bajbuga! przerwała z oburzeniem Adamowa. Archanioł to nie młoda dziewczyna i jak się przyśni to wyraźna łaska Boża.

— Ja też tak samo sobie umyśliłem, potwierdził Franek z westchnieniem, i wierzę proszę pani że mi Bóg w tym objawieniu zesłał opiekunki, bo i drugiego mam w takiej pamięci jakby mi stał przed oczami. Zdawało mi się żem go już znalazł, ale to tylko zdawało się, znajdę go jednak, tak jestem tego pewny, jak tego że teraz z panią rozmawiam. Przecieć to wszystko dzieje się na jawie.

— Tak, na jawie, moje dziecko, a w snach to często Opatrzność Boska przemawia do człowieka. Mnie jak się woda śni to zawsze potem mam jakieś zmartwienie.

Franek pożegnawszy się wyszedł z przekonaniem że sen jego był cudownym objawem woli Opatrzności. Zdawało się mu że pomrok otaczających go niepewności, rozjaśnił się, uczuł myśl lotniejszą, wsuwającą w tajemnice o jakich przedtem nie miał nawet pojęcia. Mijając przechodniów spoglądał na nich z pewną dumą, serce biło mu żywiej, czuł że jest istotą jakby wybraną, że świat uśmiecha się do niego wszystkiemi powabami szczęścia i to tak wielkiego, że jadących powozami uważał za nędzarzy, na których los nie zmieniłby się za żadne skarby świata.

— I cóż mi znaczy wasze bogactwo? myślał sobie. Ja mam większe, opiekę Bożą, przy pomocy której i świat cały może zostać moim. Ale co mi po nim, nie pragnę nic, tylko szczęścia jakiego doświadczałem wpatrując się w moich archaniołów. Co prawda, zobaczywszy Zosię zdziwiłem się i uradowałem, ale w tej radości coś brakło. Nie byłem taki zachwycony jak w mojem widzeniu. Zdawało mi się że tę postać com wprzód widział, teraz widzę jak by odbitą w lustrze, co to niby podobna jak kropla do kropli a jednak nie ta sama. Drugiej jeszcze nie odnalazłem... ale odszukam i nie odstąpię ich obu, bo tak mi serce mówi, że przy nich znajdę szczęście.

U pana Prospera Franek krótko zabawił; na wzmiankę o Zosi i domyślnem poprzedniem jej widzeniu, starzec znowu uważnie spojrzał na Franka, zażył tabaki, pokręcił głową i odrzekł po chwili:

— Co ci się chłopcze roi w myśli? Zosia poczciwa dziewczyna, ale złość ludzka dotknęła ją ciężko...

— Złość ludzka? powtórzył Franek i zaciskając pięście jakby się gotował do jej zdruzgotania jednem silnem uderzeniem dodał: a czy ja nie mógłbym co temu poradzić?

— Zkądże cię może Zosia zupełnie nieznajoma tak bardzo obchodzić? zapytał Prosper bacznie wpatrując się we Franka.

Chłopiec zarumienił się i kręcąc kapeluszem w ręku, bąkał nieśmiało:

— Niech pan tylko czego złego nie przypuszcza... ale ja już panny Zofii przez całe życie nie opuszczę, choćby poszła za mąż, bo wiem że ona nie dla mnie. Tak mi już Bóg dał żebym ją zdala szanował... i będę szanował. Dla tego radbym wiedzieć jakie zmartwienie spadło na nią ze złości ludzkiej, bo może co temu poradzę.

— Ty? odrzekł starzec i popatrzywszy na niego dodał z pewnym żalem: nie! mój chłopcze, ty na to nic nie poradzisz.

Franek spuścił oczy; zdawało mu się, że przedtem głową sięgający prawie obłoków, nagle zmalał i stał się drobnym jak robaczek, któremu stopka najmniejszej nawet dzieciny grozi zatraceniem.

U Berka powiodło mu się lepiej jak myślał. Nietylko bowiem dostał robotę przy zwózce piasku, ale nadto przyrzeczenie umieszczenia go do posługi przy jednej z łazienek letnich na Wiśle. Gdy Berek dziwił się że go tak dawno nie widział, Franek dość niezręczne udzielał objaśnienia, tak że to nawet zwróciło uwagę pytającego.

— Ej! panie Franek, rzekł gładząc go po twarzy i naprzemian klepiąc po ramieniu. Ty coś skrywasz przed Berkiem, a Berek wie, że tam w tem wszystkiem była twoja kochanka. A gdzie teraz panna Józia.

— A czart ją tam wie! odrzekł Franek brwi marszcząc.

— Za co czart, kiedy Bóg mocniejszy.

— Od takich jak ona, to Bóg daleko.

— Ach! panie Franek, jaki ty mądry, jak ty mądrze to powiedziałeś. Aj! aj! Słuchaj Franek, i przy tych słowach Berek tak łupnął chłopca w ramię i pchnął w piersi, że o mało go nie przewrócił. Słuchaj Franek, ja ci narają za żonę, fejn pannę, cacko, prawdziwe cacko...

— Dziękuję Berkowi, ale o żenieniu nie myślę.

— No, po co myśleć o żenieniu, tu nie ma co myśleć, tylko się ożenić i dosyć. Ta panna ma bares geld, tysiąc rubelków...

Franek spojrzał na Berka z podziwem.

— Panie Franek, ty przecie nie głupi, mówił dalej ujmując go za klapy od surduta i trzęsąc po każdym wyrazie jak gruszką; tysiąc rubelków czy słyszysz? Tysiąc rubelków, a za tysiąc rubelków aj! co to można mieć, i łodzi kilka i porządki w domu i koszulę webową i buty aksamitne i różne szacher macher prowadzić i potem zostać wielmożnym a może i jasnym panem.

Pokusa była za nadto silną: dla tak ubogiego chłopca jak Franek myślącego o dorobku, tysiąc rubli to bogactwo, to przyszłość uśmiechająca się wszystkiemi powabami życia. Dojście do własnej łodzi tak było dla niego trudnem cóż dopiero do tysiąca rubli. Pieniądz ma powab: zdawało mu się że go posiada w tak ogromnej sumie, że przy pomocy jego rozwija swą działalność, zakupuje łodzie, zarabia niemi, oszczędza, zbiera, kupuje łazienki, później dom... Chłopiec aż się uśmiechnął, a tu Berek jak kusiciel ciągle brzęczy tysiącem rubelków jakby je trzymał w szufladzie i gotów był zaraz wyliczyć. W tej wewnętrznej walce, widoków łatwego dorobku z pragnieniem dojścia do niego, nagle Frankowi mignęła w myśli postać Zosi, widziadło senne z owemi wymarzonymi archaniołami, przyrzeczone dla nich poddanie i spotkanie w ostatecznym upadku panny Katarzyny i niewidomego, tak szczęśliwych i zadowolonych pomimo swego ubóstwa. Franek westchnął i uczuł jakby wstyd na wskroś go przejmujący.

— Coby powiedział pan Prosper, pomyślał sobie, gdyby się dowiedział że pieniądze były mi swatem? Nie śmiałbym się nawet na oczy mu pokazać, przemó wić do niego. Żyd swatem i to z posażną panną, tak odrazu bez namysłu, to rzecz strasznie podejrzana.

Franek oprzytomniał, pokusa choć ponętna znikła,

a gdy Berek znowu zajął się wyliczaniem spodziewanych korzyści z tak bogatego ożenienia, Franek potrząsł głową i odrzekł:

— Ej! to i bez tego mogę dojść do wszystkiego.

— Za co nie? Ale tysiąc rubelków i panna fejn jak cacko, to nie głupia rzecz.

— Ja to wiem...

— No, to żeń się, żeń się, ja będę swatem! przerwał Berek i palnąwszy Franka w ramię, wykręcił w koło, poprawił kapelusz spadający mu z głowy, swoją czapkę na bakier przekręcił i odskakując od niego zawołał:

— Aj! co to za para będzie, to wszystkim nadwiślakom oczy z głowy powyłażą!

— A powyłażą, powyłażą; mruknął Franek, jak mnie Berek roztrzęsie i rozlecę się jak lalka z powyrywanemi nogami.

— Aj! pan Franek nie taki delikatny, a przy takim interesie to jak tu nie trząść?

— Ej! to nie dla mnie ten interes, odezwał się Franek porządkując rozmamane ubranie. Jak się ożenię, to nie ze swatów tylko ze swej woli, z upodobania.

— Z upodobania? A jak geld nie będzie?

— A od czegóż ręce? Berek nic nie miał a teraz ma tysiące...

— Daj pan pokój panie Franek, przerwał Berek krzywiąc się; po co to obliczać, to nieszczęście. Jak się nie chcesz żenić...

— Ja tego nie mówię, przerwał Franek, tylko pieniędzmi mnie do żeniaczki nie znęci.

— To ślicznie, bardzo ślicznie, na moje sumienie. Czy to człowiek koń albo krowa żeby go kupować?

— No, to się wie.

— Pieniądz dziś jest, jutro go nie ma, a żona zawsze w domu, zawsze przy boku. Pan Franek dobrze to rozmiarkował, a ja mówiłem jak o interesie. Kupić nie kupić, ale potargować nigdy nie szkodzi.

— Ja tam takich targów nie lubię, to tylko zawrót głowy, bałamuctwo, interes żydowski...

— Za co zaraz żydowski? przerwał Berek cmokając. Albo to sami tylko żydzi przez faktorów się żenią? Aj! co ja znam panów, co się przez faktorstwo ożenili a teraz rozpierają się w powozach. Żeby ja miał choć pięć procent z takich interesów co się już zrobiły, to byłbym jaśnie wielmożnym Berkiem. Co to zaraz wszystko na żydów składać.

Czy Berek na prawdę chciał swatać Franka, czy też tylko przypodobać się i zapobiedz prośbie o pożyczkę, niewiadomo. Przekonawszy się jednak, że interesant żąda tylko pracy a o pomocy pieniężnej nawet nie wspomniał, przyrzekł wszystko i obiecał stałe przy omnibusie kąpielowym pomieszczenie. Nie obeszło się przytem bez poczęstunku i pierników; na odchodnym, Berek wpakował swoją czapkę na głowę Franka, kazał mu się przejrzyć w lustrze i powiedział, że za tak pięknym kawalerem to warszawianki oczy pogubią.

Franek odszedł zachwycony znalezionym zarobkiem; i zaraz wziął się do pracy, bo robota była pilną. Tydzień cały nie był w domu; Antoni był pewny, że znowu przepadł na długo, miał ochotę gniewać się, ale uczęstowany kufelkiem piwa wnet się udobruchał.

— Nie idzie mi tu o twoją pomoc z miotłą na podwórzu, rzekł obcierając wąsy z piany piwnej, boć przecie i tak sobie radzę, ale milej mi z tobą w takiem piekle jak u nas. Dwa dni temu znowu wykłóciłem się z rzeźnikiem że podwórze przez trzy dni nie było zamiecione. On na mnie: a ty taki owaki! a ja mówię, to pomocnik zrobi jak przyjdzie, bo ciebie miałem na myśli. On mi wygraża pięścią, a ja tylko zamiatam: wylatuje rzeźnikowa i dalej rozkładać rękami, żem tylko do jedzenia a nie do roboty, a ja trzęsę głową choć mi się serce ściska z oszczerstwa, bo jak tu mnie posądzać o obżarstwo. I długo jeszcze trajkotali, wydziwiali i wytrząsali rękami, a ja nic bo jak tu gadać do tak prostych ludzi. Jeżeli jeszcze raz wypadnie z nimi tak pokłócić się, to od Ś-go Michała oko mnie tu ludzkie nie zobaczy.

Powrót Franka nastąpił w sobotę już późnym wieczorem. Przechodząc koło oficyny mimowoli spojrzał w okna i zastał je jak poprzednio starannie osłonięte. Znać za niemi było jakiś ruch, światło palące się, nawet rozmowę znajdujących się wewnątrz osób, ale wypatrzeć coś przez grube osłony było niepodobieństwem. Na drugi dzień Franek nie myśląc nawet o mieszkankach tak starannie zasłoniętych okien, wyszwarcował buty z cholewami po kolana i w jasnej kamizelce, w surducie granatowym niezupełnie do figury przystającym, ale za to całym i niepoplamionym, poszedł do kościołka pragskiego napełnionego ludem okolicznym. Ścisk przy wejściu był wielki: znać było że mieszczaństwo pragskie tu gospodarzy a lud ze wsi pobliskich jest tylko jakby w gościnie. Przeciskając się przez tłum dostał się wreszcie do środka wprost ambony i oparty o ścianę wyjął książkę do nabożeństwa. Druk w niej był duży i wyraźny, modlitwy i litanie napełnione wysławianiem Opatrzności Boskiej i cytatami z pisma świętego. Franek, jak większa część pobożnych zgromadzonych w kościele, nie rozumiejąc wzniosłych wyrażeń Pisma Ś-go, modlił się tylko oczami a myślą wędrował daleko po za murami świątyni, po wypadkach i zdarzeniach nieraz sprzecznych z powagą miejsca w którem się znajdował. Na pochwałę jednak jego przyznać należy, że takie mimowolne wycieczki w myśli przejmowały go zgrozą, ujmując je też w coraz silniejsze karby porządku, wprowadził wreszcie na ostatnie wypadki tak dla niego niepojęte. Skruszony ich rozpamiętywaniem, klęcząc nachylił kornie głowy i śląc dzięki za dowody cudownej nad sobą opieki, przyrzekał słuchanie tajemniczego głosu co tak bezwiednie wniknąwszy w niego przemienił go jakby w innego człowieka. Rozrzewniony powstał z kolan: lud wychodził już z kościoła tłocząc się ku chrzcielnicy z wodą święconą. Ruszył więc za drugimi i kiedy popychany i poszturgiwany znajdował się w połowie drogi, do kamiennej miednicy sięgnęła ręką jakaś młoda panienka i zwracając się w stronę wielkiego ołtarza przeżegnała się pobożnie.

— To ona! szepnął Franek z wielkiem wewnętrznem wzruszeniem. Ta sama com ją widział we mgle obłoków niebieskich. To ona, druga, którą wreszcie odnalazłem.

I przebiwszy się przez tłum, pobiegł szybko za panienką kształtną figurką i starannem ubraniem wyróżniającą się z pomiędzy tłumu wychodzącego ze świątyni.

(*d. c. n*).

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Zwinąwszy żagiel puściłem łódź z leniwym prądem rzeki, pozwalając jej ocierać się prawie o wybrzeże. Oparłszy głowę o bulwark rozkoszowałem w cieniu dębów, topoli, manioli, platanów i cyprysów, tworzących baldachim, wybiegający daleko ponad rzekę cudowną. Gdziekolwiek poziome wybrzeże wydymało się w pagórki mające kilka lub kilkanaście stóp wysokości, kwitły kępy krzewów bawełnianych, dzikich oliwek i drzewek pomarańczowych, młodych cedrów, jałowców, żółtych i wonnych jaśminów. Olbrzymie cyprysowe drzewo, konającego monarchę boru, otula od stóp do korony płaszcz z lśniącego, szmaragdowego bluszczu, znanego w botanice jako *Decumaria barbara*. Łatwo pojąć wdzięk tego obelisku zieleni, gdy dodam, że cyprys ma pewno 30 stóp obwodu, a bluszcz pokrywa każdy cal jego kory. Na innych pagórkach widzę znów liczne rodzaje wiciokrzewu *(azalea)*, z pękami białych i różowych kwiatów,tak licznemi, że zakrywają liście. Silny zapach wanilowy dolatujący mnie, pochodzi z rośliny pospolitej w całej Florydzie, której liść używają do zaprawiania niektórych amerykańskich tytuniów. Nie pisząc rozprawy botanicznej nie wyliczam i setnej części cudnych, kwiecistych, wonnych roślin, zapełniających, wybrzeże Saint John tak gęsto, że trudnoby stanąć na niem, bez zgniecenia zieleni lub kwiatów. Drobne, rodzime pszczółki (podobno zjadliwe i złośliwe) ucztują tu przez rok cały, a pyszne, różnobarwne motyle roją się w nieskończonych pasmach, zaćmiewając karmin maków, i spoczywając w grupach na gałązkach dzikiego krzewu winnego, zupełnie podobnego do europejskiej winorośli, oprócz że wydaje drobniejsze kwaśne owoce.

Ciche odnogi rzeki przedstawiają także wielką rozmaitość życia roślinnego i zwierzęcego. W niektórych miejscach spotykam morgi wody, okryte nieznaną w innych krajach, i do niedawna uważaną za rzecz rzadką żółtą lilią (*Nymphaea lutea*); liście jej, mające nieraz 20 cali średnicy, zalegają wodę nakształt kobierca. Wszędzie wzdłuż brzegu sterczą po nad wodą roślinki podobne do posrebrzanych korków butelek szampańskich, bardzo pospolite na wszystkich moczarach Florydy. Pomiędzy niemi nurkują pracowicie dzikie kaczki, tak pilnie zajęte rybołóstwem, że ledwie dają się spłoszyć. Najczęściej widzę tylko kity ich ogonków. Na brzegu wartują zadumane czaple, patrząc z pode łba, może z zazdrością, na kaczki szczęśliwsze od siebie w żerowaniu. Niektóre pomiędzy niemi, snadź znudzone czatami, wetknęły głowy pod skrzydła i wyglądają nakształt kłębków z białego pierza. Szmer mojej łodzi budzi tych filozofów i śpiochów... roztaczają skrzydła leniwie, klimat tutejszy uczy nawet ptaków ospalstwa, wznoszą się... znikają nakształt białych strzał po za czarną gęstwiną. Ale olbrzymie żółwie, wygrzewające się gdziekolwiek spoczywają promienie słoneczne, co się przedarły przez gęstwinę, nie zważały na mnie, póki nie potrąciłem ich wiosłem.

Tam, na ciepłej kępie leży istota podobna do szarej kłody. Jestto pan aligator... zdaje się, że patrzy na mnie z dobrodusznym uśmiechem. Bestya ta ma fałd pod brodą, jak wiadomo; spotkawszy ją na wolności wygląda ona, jakoby szczerzyła się uśmiechem, od ucha, do ucha. Wyjmuję ostrożnie swój kieszonkowy rewolwer i palę raz... drugi... trzeci. Wreszcie znudził go hałas rewolwera (wątpię, aby dbał o kule odbijające się od łuski pancernej). Otwiera paszczękę... szczerzy szeregi kłów białych... zsuwa się do rzeki.

Kiwnął ogonem i znikł mi z oczu.

Każdy rzut wędki wyciągnąłby tu z rzeki skrzelate, wielkie sardele amerykańskie (shad), sumy, tudzież inne, nieznane mi ryby, które roją się w toni dokoła łodzi.

Takie cuda oglądałem, żeglując po Saint John.

Ale nadewszystko czarowały mnie kolibry, oglądane po raz pierwszy. Strzelały one pomiędzy zielenią palmettów nakształt szmaragdów, rubinów, ametystów. Fruwały nizko i wysoko. Gdziekolwiek rzuciłem okiem, widziałem je gęściej od kwiecia i motylów. Wysoko po nad łodzią świeciły ich szkarłatowe piersi, na wzór płomyków ognistych. Niżej mkną ich złote skrzydełka, świecąc jak promyki słoneczne przesiewane przez baldachim liścia. Jeszcze niżej bujają ich główki szmaragdowe nad miodowemi kwiatami, zapuszczając delikatne dziobki w kielichy i dzbany różnobarwne, napełnione ambrozyą naturalną. Filuty te tak są śmiałe, oswojone prawie, że gdy urwałem lilię i podniosłem ją po nad głową na wiośle, jeden z nich przyleciał, i trzepotał się dokoła niej, zaglądając badawczo w głąb korony, czy nie znajdzie miodu.

Dzień cały upłynął mi nakształt okamgnienia, w zapoznaniu się z uroczą florą i fauną Florydy. Nim zmiarkowałem porę dnia, słońce zaszło po za drzewa, a bzykanie komarów napominało do ucieczki. Szczęściem, zadął wiatr raźny od północy, rozpędzając owady i wydymając żagiel z ukosa. W godzinę później siedziałem w hotelu, przy dobrej kolacyi...

W drugim dniu pobytu w Jacksonville rozpatrzyłem się w miejscowych stosunkach. Głównem źródłem bogactwa Florydy i przyczyną szybkiej kolonizacyi jest uprawa pomarańcz. Koło Jacksonville zdarzają się jeszcze przymrozki, więc nie spotykamy wielkich pomarańczarni, ale dalej na południe, wzdłuż Saint John (która płynąc od południa ku północy dzieli półwysep na poły) ujrzę ich mnóstwo. Zakładają je przybysze z Północy, o których już wspominałem. Wielu z nich pada ofiarą „rekinów,“ czyli miejscowych spekulantów, co oszukują kolonistów w rozmaite sposoby. Lecz ostrożniejsi wychodzą często dobrze na pomarańczowem gospodarstwie, zwłaszcza gdy się zaaklimatyzują, nauczą trybu pracy w gorącym klimacie, pozbędą złudzenia, że życie plantacyjne nie wymaga pracy, lecz jest pasmem dni idyllicznych, napełniając kieszeń z łaski przyrody.

W Jacksonville istnieje bióro wielkiej kompanii, która posiadając ogromne obszary parceluje takowe na *lot'y* (działy) i sprzedaje na raty kolonistom. Parcela z 5 akrów, zasadzonych szczepionemi pomarańczami kosztuje 500 dolarów. Po 6—8 latach drzewa będą już rodziły owoce; roczny dochód z tak małej nawet pomarańczarni wynosi więcej, niż koszt jej pierwotny. Pytałem o cenę i warunki, nie szukając kupna, lecz tylko z ciekawości. Jak wspominałem, pierwotny kapitał nie wygląda odstraszająco. Za parę tysięcy dolarów możnaby kupić, co na pierwszy rzut oka ręczy w przyszłości bardzo przyzwoity dochód. Dom nie kosztowałby wiele, przy obfitości budulca. Ale i tu, jak w Kalifornii miną lata liczne, zanim własność przyniesie procent. Przez 8—10 lat nie przynosi ona nic zgoła, a wymaga pieczy i pracy codziennej w gracowaniu, drenowaniu, podlewaniu. Mnóstwo osób nie myśli o tem: wyłożywszy kapitaliki na ziemię i drzewka, wreszcie muszą porzucić plantacyę, którą prawdopodobnie zabierze kompania za raty zaległe. Kompania doskonale więc wychodzi na tej kolonizacyi. W Los Angelos, w Kalifornii, traktują podobnież kolonistów, jak się bez wątpienia przekona pewna znana polska rodzina, która wybrała się tam, aby sadzić pomarańcze.

Niektórzy przybywszy do Florydy wybierają też tak zwane *hummock'i* czyli miejsca niezdrowe na siedziby. Takich wytępia zwykle lub wypędza febra zabójcza, znów ku pożytkowi kompanii.

Praktyczność amerykańska objawia się tu w ten sposób, iż istnieje inne towarzystwo, które także sprzedaje ziemię zasadzoną młodemi, szczepionemi drzewkami, ale pielęgnuje te pomarańcze póki nie zaczną rodzić, podczas gdy właściciele mieszkają gdzie im się podoba. Po pewnym przeciągu lat kupcy płacą ostatnią ratę i osiadają na plantacyi, dającej już stały dochód bez wielkiego zachodu.

Większa część kolonistów nie wdaje się jednak w stosunki z towarzystwem, lecz nabywa ziemię od rządu i sadzi własne drzewka. W pewnej porze roku snują się po lasach Florydy laskonogie postacie spekulantów szukających gruntu i zbierających dziczki pomarańczowe (bardzo obfite w wielu miejscach) do przesadzenia. Osoby te błądzą, puchną od komarów, drą suknie na kolcach pasożytów i dają powód tubylcom do tysiąca anegdot. Jedni wychodzą ostatecznie dobrze na swojej spekulacyi, inni bankrutują; wszystko w świecie zależy od przedsiębierczości, pilności i szczęścia. W ostatnich latach doprowadzono reklamę Florydy i pomarańczowych plantacyi do śmieszności, wydając tygodniki w New-Yorku, celem wabienia emigrantów. Napływ kolonistów zniżył też wartość tropikalnych owoców. Na groblach w Jacksonville ciskają skrzynie pomarańcz i ananasów, tudzież pęki bananów, nakształt worów zboża. Jednakże, skutkiem przewrotnego systemu handlowego, który spotykamy często w różnych krajach, przekupnie w Jacksonville żądają drożej za kilka pomarańcz lub ananasów, niżby równa ilość owoców kosztowała o tejże porze w Filadelfii, Londynie albo Hamburgu.

Na trzeci dzień po przyjeździe, o dziewiątej z rana, stawiłem się na pokładzie parowca, krążącego pomiędzy Jacksonville i górną Saint John. Statek odbił w trzy godziny po właściwej porze. Czas nie jest pieniędzmi na Południu; gdyby był, każdy gentleman południowy miałby więcej kapitału, niżby wiedział co z nim począć. Przez trzy godziny patrzyłem więc jak ładowano statek, tak zwany „ładugą mieszaną.“

W istocie była ona mieszaną. Nigdy nie widziałem rozmaitszej *olla podrida* wrzucanej na okręt, a pomagałem ładować niejeden statek. Obdarci murzyni wnosili na pokład paki pełne fajansów, tandetne meble, części domów owego rodzaju, które można złożyć w całość pokaźną w przeciągu doby, tworząc ucywilizowane pomieszkanie na puszczy, kłęby kurcząt powiązanych za nogi, beczki pekelflejszów i mąki, wory guana, słowem, cokolwiek potrzebują plantatorowie. Szpary pomiędzy ładugą zapełniali węglem kamiennym do użytku parowca.

Wreszcie zabrali się czarni majtkowie do dźwigania kotwicy, wyjąc w takt donośniej od załogi całej floty angielskiej. Parowiec zadrgał... wolny już... i świsnąwszy ruszył w drogę.

Słońce dogrzewało, więc towarzystwo z turystów, suchotników i spekulantów zebrało się pod baldachimem, rozpiętym nad rufą. Miły zefir, wiejący za dnia i w nocy w tych stronach, raz od morza w głąb lądu, znów z lądu do morza, odszukał nas, chłodził, uprzyjemniał to główne zajęcie na statku, obsiadywanie dam najprzystojniejszych i rywalizacyą o ich względy, podczas gdy starsze towarzystwo bawi się dzieciakami, których psoty i beki zabijają niejedną nudną godzinę żeglugi.

Woda lśniła nakształt lustra weneckiego. Dwa olbrzymie pasma pereł skłóconych kołami statku wlokły się za nami, świecąc cudnie na brązowej rzece. Tratwy z kłód sosnowych i cyprysowych, przedmiot żywego handlu na Saint John, złączone w przestrzenie równe pływającym wyspom, wleczone zwolna remorkierami, zaludnione wioskami flisaków, pstrzyły rzekę. Ciemne bory, niekiedy przerwane jaśniejszą zielenią plantacyi bananowych, tworzyły wspaniałe ramy dla lustra rzecznego. Wszystko tu tak ogromne, ciche, łagodne! można prześnić dnie i tygodnie w żegludze po tej wodzie, drzemiąc i podziwiając. W tych domkach nadrzecznych tak malowniczych i w kapryśnych stylach, nakształt chińskich kiosków, willi włoskich, szaletów szwajcarskich, powinno upływać życie jak w raju.

O 15 mil ang. od Jacksonville zatrzymał się parowiec przy miasteczku. Wszystkie mieściny nad Saint John zbudowano wedle jednego wzoru. Zwykle składają się one z długiej grobli na palach, magazynu tuż przy niej, w kształcie sporej szopy, dwóch albo trzech hotelów, tyluż kościołków i kilku wdzięcznych domków, na wzór bardzo dużych, przewiewnych, ażurowych prawie klatek. Wszystko to z drzewa, malowane na biało, z cienistemi werandami (gankami) dokoła, słowem wszystko budują dla chłodu.

W pierwszem miasteczku wysiedli prawie wszyscy podróżni. Pytam kapitana dla czego.

— A, idą patrzyć na panią Beecher Stove, która mieszka tu, w Mandarin'ie.

Więc byliśmy w Mandarin'ie, słynnem z pomarańcz tegoż imienia (miasto nazwano od pomarańcz), małych, purpurowych, o skórkach cieniutkich. Jeszcze bardziej słynie jako leże zimowe nieśmiertelnej autorki. Śpieszę za towarzystwem, aby ją zobaczyć.

Turyści szli w gęsim szeregu z flegmą i bezczelnością osób, co zapłaciwszy swoje dziesięciogroszówki maszerują, aby lwa oglądać. Tym razem nic nie płaciliśmy za widowisko.

Każdy z nas należał do tej bezwstydnej klasy wścibskich, co w pałacu monarchy lub prezydenta gotowiby zajrzeć do małżeńskiej komnaty, a może wyryć swoje pospolite imiona na najparadniejszym stole, ku wiecznej pamięci swej wizyty. Tacy to ludzie obtłukują i kradną nosy pomników, łamią karki na piramidach, a gdy zwiedzają Florydę szturmują do willi autorki Chaty Wuja Tomasza. Nazywają ich turystami z zawodu; celem ich życia bywa oglądanie słoniów wszelkiego rodzaju. Tylko oni mogliby się dopuścić poniższej nieprzyzwoitości.

Willa pani Stowe tonie w kwieciu i bananach. Ocieniają ją pyszne dęby; rysuje się na tle dębowego gaju. Okna jej wiecznie otwarte. Rodzina i goście przesiadują część dnia w saloniku, autorka w pokoju tuż obok, gdzie pisze. Dwa razy na dzień wysypuje się sznur turystów z mijających parowców, zatrzymujących się tu na godzinę w tym celu. Jeden obcy po drugim wtyka głowę w okno, patrzy na pracującą literatkę kilka sekund i usuwa się, ustępując miejsca koledze. Pani Stove nie zwraca na nich uwagi. Żaden z nich nie uchyla kapelusza. Czy jej smakuje to oglądanie, nie wiem. Zdaje się, sądząc ze znanej swojej próżności, że lubi tę śmieszność. Jeżeli jednak nudzą ją podobne odwiedziny, nie żałuję jej, gdyż zasługę pierwszej pracy dawno zatarła plotkami o Byronie i ramotami, z których żyje. Ale też żyje wyśmienicie, chociaż pisze same mierności. Bodaj to urodzić się pisarzem angielskim i napisać jedną rzecz dobrą! Kapitał zdobytej reputacyi daje nietylko na chleb lecz i zbytki przez całe życie.

Wróciliśmy na parowiec. Zanim dopłynie do najbliższej stacyi wspomnę kilka słów o nim. Nazywał się *Hattie*, a w nędzniejszej starej beczce nigdy nie żeglowałem. Kocioł jego był tak połatany i stary, że lękałem się wysadzenia w powietrze lada chwili. Lecz karmiono nas wybornie, a cała żegluga na Sait John, 250 mil ang., z wiktem i prawem zatrzymywania się na stacyach, kosztowała tylko 10 dolarów. *(d. c. n.)*

Korespondencya z Berlina.

Zatrute powietrze Berlina. — Czarodziejstwo. — Reformy w nauczaniu publicznem. — Kongres dziennikarzy. — Ogród zoologiczny w Berlinie. — Pocałunek, komedya p. Doczi. — Zawalanie się domów w Monachium. — Pojedynki studentów uniwersytetu.

(Dokończenie).

W teatrze berlińskim wielkiem cieszy się powodzeniem komedya węgierskiego dramaturga pana Doczi, pod tytułem „Pocałunek“. Choć jest to tylko tłomaczenie, ale całość tak się nadaje do gustu i usposobień germańskich, iż Niemcy adoptowali ją za własny utwór, co nie przeszkadza iż Akademia Peszteńska, komedyę uwieńczyła. Dawno już nie pojawił się tak dobry utwór dramatyczny; podaję tu w krótkości treść, choć nie może ona dać dokładnego pojęcia o utworze którego główną zaletą jest piękny wiersz, zręczne i dowcipne dyalogi i wytworny styl.

Sewer, król Nawarry, jest to sobie książę bardzo miły i cnotliwy; choć skończył dopiero lat dwadzieścia, tak ufał w swoją cnotę i statek, iż uznał że może i powinien służyć za wzór nietylko swoim dworzanom ale wszystkim poddanym. Ożeniony ze śliczną Blandą, którą kocha z całym zapałem najczystszej miłości, nie chce aby ktokolwiek mógł choćby posądzić go o najlżejsze zboczenie i zakazuje pod najsurowszemi karami, aby w jego królestwie żaden narzeczony nie ważył się pocałować swej przyszłej przed ślubem.

Za przekroczenie tego prawa, własny brat jego, Adolar, zostaje skazany na wygnanie.

Prolog przedstawia wygnańca Adolara na dworze Fernanda, księcia Aragonii, któremu opowiada swoją historyą. Następnie Adolar przedstawia księciu parę zakochanych, Mariettę i Karola, którzy nie mogąc się pobrać z powodu prześladowań złej macochy, i nie mogąc się pocałować z powodu edyktu królewskiego, nie wahali się opuścić kraj rodzinny i schronić do Aragonii. Książę Fernando był to człowiek bardzo rozumny i przewidujący; otóż postanowił sobie wyleczyć swego królewskiego kuzyna z jego śmiesznej manii a zarazem ułatwić Adolarowi powrót do kraju. Namawia go tedy aby przebrany powrócił do kraju z Mariettą i z Karolem, przedstawił się Severowi jako jego wysłaniec i oznajmił: że on, książę Fernando zakłada się: iż na dworze króla Nawarry, spełni się niezliczona liczba przestępstw tak surowo zakazanych i karanych, jak tylko obecność króla nie będzie temu na zawadzie. Jako stawkę zakładu, ofiaruje swemu królewskiemu kuzynowi pięć wsi nadgranicznych.

Król Sever nie poznaje przebranego brata i bez wahania przyjmuje zakład. tak pewny jest i własnej i swoich poddanych cnoty. Żegna się publicznie z żoną i z dworzanami, mówiąc że wyjeżdża na miesiąc, ale wraca tajemnie za tydzień aby się przekonać co się też dzieje podczas jego nieobecności. To co zobaczył wprawia go w osłupienie. Adolar i sprytna Marietta nie tracili czasu, i przekonali naocznie młodego króla jak mało zważają na jego zakaz. Sever przekonywa się że jedna z dam dworskich, którą uważał za uosobioną cnotę, kocha się w jakimś wieśniaku. Wielki kanclerz którego miał za człowieka jest ostatnim łotrem; gdzie zwróci oczy postrzega występki albo płoche miłostki, a co najgorzej sam o mało nie poddaje się naganej namiętności.

Z tego wszystkiego wywiązują się sceny nadzwyczaj zabawne, śmieszne i dowcipnie przeprowadzone. „Szkoda słów, pisze Fernando do Severa, głodnemu prawić o wstrzemięźliwości; przyjedź do mnie a przekonasz się że stary szaleniec jak ja, jest stokroć mądrzejszy od takiego jak ty młodego mędrca.“ Naturalnie Sewer przekonany o słuszności tych słów, wraca do królestwa z nieprzebranym zasobem pobłażliwości na tego rodzaju grzeszki swych poddanych. Od owej chwili wolno w Nawarze pocałować się bez narażenia na surowe kary.

Wiadomo wam że przed dwoma miesiącami w ciągu dwóch tygodni kilka domów zawaliło się w Berlinie, narobiło to krzyku i śmiechu z wyśmiewanych architektów stolicy nowego cesarstwa, i nietylko zagraniczne ale i niemieckie pisma prowincyonalne i krajów annektowanych, nie szczędziły drwinek i ostrych docinków nad nieuctwem budowniczych i majstrów, oraz niedbalstwem dozoru miejskiego. Wywdzięczając się za to dziennikom bawarskim, które wtedy dowcipkowały uszczypliwie, n. p. iż jeśli dalej tak będzie, domy berlińskie nie będą już mogły być uważane za nieruchomości, gazety berlińskie powtarzały dosłownie przez parę dni: dziś nie odebraliśmy wiadomości o zawaleniu się kilku domów w Monachium. Rzeczywiście przez jakiś czas domy zawalały się w Monachium jakby z kart ustawiane, i dotąd jeszcze często bardzo się zdarza, iż najspokojniejszy przechodzień idąc trotuarem uderzony zostaje spadającą cegłą lub odłamem jakiejś gipsowej *lataniny* którą właściciele niby jako ozdobę kazali poprzylepiać na fasadach swych domów. Wypadki te powtarzały się nieustannie a najwięcej w dzielnicach przeważnie przez lud zamieszkanych; to było powodem iż jeden z socyalistowskich dzienników zawołał z oburzeniem: widać jak mało jest cenione życie proletaryatu, skoro nie przedsiębiorą środków zaradczych.

Jakkolwiek ludność w Monachium nie powiększyła się tak znacznie, jednak od lat kilku daje się uczuć wielki brak mieszkań, a szczególniej tańszych. Idąc wzorem wszystkich swoich europejskich kolegów, właściciele domów bardzo popodwyższali komorne. Mieszkający w środkowych dzielnicach miasta, woleli zgodzić się na ich wymagania, niż przenosić się do oddalonych gdzie pobudowano bardzo wiele bardzo nie estetycznych gmachów. Monachium nie posiada takiego edyla jak p. Hausmann, więc pozostawiono wszędzie stare ulice i stare domy, tylko właściciele ich, chcąc czemkolwiek usprawiedliwić podwyższenie komornego, dopełnili pewnych powierzchownych reparacyi, które bynajmniej nie umocniły ich domów, a nadto wielu bardzo pododawali wyższe piętra, nie troszcząc się bynajmniej czy stare i cienkie mury je utrzymają. Byle handel szedł, byle powiększyć dochód. Nie dość na tem tak owe przylepiane piętra jak nowe mury wznoszono ze starych materyałów, zużytych cegieł nadpróchniałego drzewa, i oto powód nieustannych zawalań, skutkiem których tyle nieszczęśliwych ofiar zostało zagrzebane pod gruzami tych „pobielanych grobów.“

Aby temu zaradzić zaczęto tworzyć nowe ulice na przedmieściach i wznosić nowe budowle, których liczba dochodzi do dziewięćset, cóż z tego, większa ich część stoi pustkami. Monachijczycy są wzorem rutynistów: zdaje im się iż znajdują się po za krańcami cywilizowanego świata, gdy tylko nie mają przed oczami placu targowego i piwiarni w której zwykli spędzać wieczory. Co prawda nowe ulice nie są ładne: zdaje się że stary król Ludwik I. zabrał z sobą do grobu smak architektoniczny i tajemnicę przyozdabiania swej stolicy. Wszystkie nowe urzędowe gmachy są brzydkie i posępne, a szczególniej szkoły których w mieście jest bardzo wiele. Zakrawają one na jakieś fabryki lub więzienia.

Zaprowadzenie tramwayów bardzo wpłynęło na ożywienie miasta aż nadto cichego i spokojnego. Obliczono że w miesiącu lipcu, korzystało z nich 281,075 osób. Jak wiadomo Monachium jest pierwszą stacyą podróżników z Północy udających się do Włoch; zatrzymuje się tu ich bardzo wielu, tak jadąc jak wracając, a Ateny niemieckie przyjmują ich jak najuprzejmiej. Przeszłego roku otwarto dla nich Muzeum Kaulbacha; w bieżącym Muzeum odlewów według starożytnych wzorów, które uprzednio tylko małej liczbie uprzywilejowanych były dostępne. Te reprodukcye wszystkich arcydzieł zawartych w Muzeach europejskich, przedstawiają dokładnie dzieje plastyki greckiej od jak najdawniejszych czasów.

Podczas lata, prawdziwy Monachijczyk pozostawia przybyszom swe galerye i muzea, sam nie ciśnie się do nich: ulubionem w owej porze jego siedliskiem są piwnice piwowarskie. Wyszedłszy na ulice wieczorem, bardzo mało gdzie zobaczy się oświetlone okna; obcy przybysz mniema że mieszkańcy powychodzili na przechadzki, świeżem odetchnąć powietrzem, gdzie tam! wszyscy niemal siedzą w piwnicach. Młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety, dzieci, siedzą przy dzbanie piwa, i ani marzą o jakiejś milszej rozrywce. Całe rodziny cisną się jak śledzie w beczce w dusznej i zadymionej atmosferze, w którejby, jak to mówią, siekierę zawiesił; często dla braku miejsca dzieci trzymają na kolanach i raczą się rozkosznie ciastkami, kiszkami, szynkami i różnemi przyniesionemi z sobą przysmakami.

Na zakończenie podam jeszcze szkic obyczajowy Niemiec południowych, już nie tak spokojny ale równie średniowieczny. Są to pojedynki między studentami.

Nie dawno temu, pewien oberżysta w Koenigshofem (starem karlowingskiem mieście na drodze z Heidelberga do Würzburga), ujrzał przybywającą gromadę ze stu młodych ludzi, którzy zamówili dla siebie wielką salę jego zakładu. Byli to studenci uniwersytetów z Würzburga, Tubingen, Erlangen i Heidelberga, przybywający w zamiarze rozstrzygnięcia zaszłych między nimi sporów. Nie chodziło o pojedynczy pojedynek, ale o „ogólne pojedynkowanie.“ Zapaśnikom obu obozów towarzyszyło dwóch chirurgów, zaopatrzonych w lód, bandarze i narzędzia chirurgiczne. Nie będę wyliczał ile było twarzy pokiereszowanych i poszyważnych. Bronią powszechnie używaną do tych, zwykle nie zbyt zaciętych pojedynków, są bardzo giętkie i ostro zakończone rapiry, któremi godzi się po twarzy, gdyż całe zresztą ciało jest starannie zabezpieczone od ran. Jeśli, szczęściem oko nie jest dotknięte, kończy się na szramie przez twarz, z której dotknięty nią, szczyci się i chlubi.

Od pewnego czasu, Koenigshofen stało się pojedynkową stacyą studentów. Miesiąc temu liczne bardzo zgromadzenie było świadkami przeszło godzinnej walki jaką staczało z sobą dwóch studentów, i w końcu żaden nie był choćby zadraśnięty, ale, jak to mówią „wyszli z honorem.“ Najważniejsze pojedynki odbywają się w salonie, ale to wtedy tylko jeśli spotkanie jest następstwem pobudek bardzo ważnych, zaś do pojedynków na rapiry, staczanych jedynie „dla honoru korporacyi“ walczący zazwyczaj wybierani są przez losowanie.

W przyszłej korespondencyi prześlę sprawozdanie z ruchu literackiego.

J. W.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Krótki wstęp. — Szczegóły o wyborze Papieża podług dzieł Nielsena.—Nowe odkrycie w ratowaniu od ognia.— Charakterystyczny rys obyczajowy poszukiwaczy złota w Kalifornii. — Książka o Grotgerze w Wiedniu. — Mniemany *wąż morski* albo *dyabeł morski*.

Wprowadzając powyższą rubrykę do *Tygodnika*, mamy zamiar obznajmiać czytelników z tem wszystkiem, co ważniejszego zajdzie w świecie artystycznym, literackim, naukowym i społecznym. W sprawozdaniach tych, unikać będziemy kronikarskiego sposobu notowania drobnych zdarzeń, czem troskliwie, i bardzo słusznie, zajmuje się codzienna prasa peryodyczna, zadaniem naszem będzie zatrzymywać uwagę na donioślejszych faktach w dziedzinie sztuki, literatury, nauki i życia społecznego, faktach, które pozostawiają po sobie trwalsze ślady, ze względu na charakter są ciekawe i o których wiadomości przedstawia pewien pożytek inteligentny. Nie wdając się tedy w obszerne wstępy, przystępujemy odrazu do rzeczy, i prosimy nie o pobłażanie, bo tego piszący w tym rodzaju sprawozdania, nie ma prawa wymagać, lecz o to, aby czytelnik ten pierwszy artykuł, ze względu na materyał, jakim w tej chwili rozporządzamy, nie uważał, jako miarę następnych.

* * *

W obec bardzo podeszłego wieku dziś panującego Papieża, powszechne na siebie zwróciło uwagę dzieło niemieckiego publicysty Nielsena p. t. „Papieztwo.“ W dziele tem autor dając historyczny rys co do wyboru Papieża, zamieszcza bardzo obszerne i ciekawe szczegóły, które dziś obowiązują, gdy idzie o wybór najwyższego dostojnika kościoła katolickiego. Podajemy podług powyższego dzieła w streszczeniu niektóre interesujące szczegóły.

Po skonstatowaniu śmierci Papieża przez zaprzysiężonych świadków, następuje dzwonienie w wielki dzwon na Kapitolu. W ciągu następnych dziesięciu dni odprawiają się msze za duszę zmarłego Papieża, w dniu jedenastym, otwiera się *konklawe*. Wyraz „conclawe“ (cum clave t. j. z kluczem), oznacza jednocześnie i miejscowość, w której Papież obiera się, i samo zgromadzenie wyborcze.

W lokalu na to przeznaczonym, urządzają się pokoiki poprzedzielane drewnianemi ścianami, po dwa dla każdego kardynała. W jednym mającym około sześć łokci długości i tyleż szerokości, mieszka kardynał, w drugim zaś mniejszym nieco pomieszczony jest jego sekretarz. Cele te ponumerowane, rozdzielają się losem. Wewnętrzne urządzenie jest bardzo proste i we wszystkich jednakowe: łóżko, stół, klęcznik i kilka krzeseł, na meblach i drzwiach celi poumieszczane są herby kardynała. Cele porozdzielane są wązkiemi korytarzami. W większej części cel jest prawie ciemno, ponieważ światło dostaje się do nich z góry z wielkiej sali, w której te cele urządzają się. Wszystkie drzwi zamurowują się z wyjątkiem jednych dla wpuszczania kardynałów spóźniających się, lub wypuszczenia tych, którzy niebezpiecznie zachorowali. W tych jednych drzwiach, znajduje się także okno, do przyjmowania od posłów obcych mocarstw powitań i mesażu swojego rządu.

Rano w dniu przeznaczonym na otwarcie konklawe, najprzód wszyscy kardynałowie, zgromadzają się w tym, lub owym kościele: ale jeżeli konklawe ma się odbywać w Watykanie, to zgromadzają się w Sykstyńskiej kaplicy. Tam kardynał dziekan celebruje mszę, tak zwaną Ś-go Ducha, po zakończeniu której ma przemowę do kardynałów. Następnie świetny pochód wyrusza do konklawe. Na czele idą służący kardynałów i papiezcy śpiewacy intonujący *Veni Creator Spiritus*. Za nimi mistrz obrzędów, niosący wielki krzyż, a bezpośrednio za nimi kardynałowie, parami w fioletowych płaszczach. Pochód zamyka gwardya szwajcarska, a za nią niezliczone tłumy ludu. Jak tylko kardynałowie wejdą do konklawe, udają się najprzód do kaplicy, przeznaczonej dla właściwego głosowania.

Tam odbywają się wspólne modły, a następnie odczytują się wszystkie bulle, odnoszące się do wyboru Papieża i kardynałowie składają przysięgę, że przestrzegać będą prawideł w tych bullach zawartych. W dniu tym do późnego wieczora cele stoją otworem dla wszystkich odwiedzających, następnie posłowie mocarstw zagranicznych żegnają kardynałów, odbiera się przysięga zachowania tajemnicy, od urzędników konklawe, a gdy się ozwie głos dzwonu, wszyscy obcy ustąpić muszą. Głosowanie na papieża odbywa się kartkami. Po zakończeniu głosowania, rozpoczyna się obliczanie kartek. Trzej kardynałowie odczytują nazwiska. Kardynał który otrzymał *dwie trzecie* głosów, jest kanonicznie wybrany; w przeciwnym razie następuje powtórne głosowanie, które się nazywa *per accesso* i nikt nie może głosować na tego sanego kandydata, co poprzednio głosował. Wieczorem wszystkie kartki po głosowaniu, które się okazało bezowocnem, palą się w piecu, jeśli zaś Papież został wybrany, to kardynał dziekan występuje na balkon i o wypadku wyborów zawiadamia.

(d. n.)

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym roku 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi R. Wierszyki nadesłane pełne są zacnych myśli, które, jak to mówią, wartoby złotemi wydrukować literami, ale nie zachowane są w nich warunki dobrej formy i brak w nich polotu prawdziwie poetycznego. Warunki zaś te są niezbędne i żadnym sposobem pominięte być nie mogą.

Pani Helenie P. w Kamieńcu Podolskim. Nadesłane rs. 3 dla biednej chorej staruszki p. Machnickiej odebraliśmy. Co do deseniu na kanwową robotę, to jak tylko takowy odpowiednio do życzenia wynaleziony zostanie; niezwłocznie natychmiast posłać zawiadomienie.

Pani Henryecie W. List stosownie do życzenia oddany został na poczcie i zapewne już doszedł swego przeznaczenia.

Pani P. w Niemirowie. Numera zaległe i dodatki z drzeworytami i krojami do N-ru 45 zaginione na poczcie powtórnie przesyłamy. Pozostałe kop. 35 doręczyliśmy biednej p. Machnickiej.

Pani M. H. Świat wychodzi pod redakcyą p. Adama Wiślickiego redaktora Przeglądu tygodniowego. Życzenie co do zrobienia uwagi zadosyć uczynimy w Przyjacielu. Obawy co do szkodliwego wpływu w kwestyi o którą zapytani zostaliśmy, zupełnie usprawiedliwione.

Nowe wydawnictwa.

Szlachetna zabawa, zbiór oryginalnych powiastek i opowiadań dla młodzieży, wydał Władysław Nowicki Mag. Nauk Histo. i Filozofii. Cena: kartonowana 70 kop., broszurowana 50 kop.

O książeczce tej później damy obszerniejsze sprawozdanie.

Dzieł Bartoszewicza Juliana wyszedł tom drugi obejmujący Historyą literatury polskiej potocznym sposobem opowiedzianej. Wydanie powiększone.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 8 (20) Декабря 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 50.

(Dokończenie).

N. 25. Serweta na bilard.

Rodzaj haftu zdobiącego serwetkę jest tenże sam jaki podaliśmy w N-rze 9 na ryc. 4, inny wzór znajdą czytelniczki w N-rze 38 na ryc. 11; 31 cent. szeroki szlak przedstawiony na ryc. 25 odrobiony jest na zielonej flaneli, czterema zielonemi cieniami i dwoma drzewnemi. W odstępach między haftem odrobione są kije i kule bilardowe.

N. 26—27. Desenie na ścieg gobelinowy na kanwie.

Odpowiednie na pantofle, poduszki i t. p. odrobione są dwoma harmonijnie dobranemi kolorami w czterech cieniach; każdy ścieg wzdłuż 6 nitek kanwy w odstępie jednej nitki poprzecznej. Na ryc. 27 poprzeczne ściegi odznaczające się ciemniej przeszyte są jedwabiem.

N. 29—30. Kapelusiki dla młodych panienek.

Rycina 29 przedstawia biały filcowy kapelusik opasany białym jedwabnym szalikiem 14 cent. szerokim wysiepanym z brzegów a na końcach oszytym frendzlą. Białe piórko przypięte strzałką dopełnia ubrania. Na rycinie 30 widzimy kapelusik filcowy z główką pluszową białą; rondko objęte z brzegów materyą; do przybrania służy wstążka biała repsowa 6 cent. szeroka.

N. 31. Chustka trójkątna oszyta frendzlą i riuszą z piór.

Odpowiednia do wejścia na koncert, do teatru, na wizyty wieczorne ma formę trójkątną, zaokrągloną u dołu; boczne proste brzegi liczą po 105 cent. długości; górny brzeg skośny jest tak jak i dolne brzegi ozdobiony oszyciem z frendzli, piór i t. p. i wywinięty na wierzch. Model odrobiony był z białego kaszmiru z frendzlą jedwabną i naśladowaniem riuszy z piór.

N. 32. Zarzutka do wieczorowego ubrania.

Lekka, dająca się zręcznie układać i drapować na ramionach zarzutka formą szalika, stanowi ładne okrycie do wejścia na bal lub t. p. Model był z białej jedwabnej grenadyny w paski niebieskie i liczył po złożeniu 50 cent. szerokości a 210 cent. długości, brzegi zakończone frendzlą jedwabną.

N. 33—33-a. Suknia princesse z draperyą.

Prosta, zręcznie przefałdowana draperya, której krój podaje rycina 33-a może być dodana do gładkiego vêtement lub długiej polonezy, albo upięta wprost na sukni princesse jak na ryc. 33. Potrzeba na nią prostego brytu materyału 80 cent. szerokiego, oszytego u dołu i z jednego boku frendzlą; bryt ten z przodu i z boków założony w fałdy poprzeczne, na tylnym brycie sukni upięty jest beduinowo; rogi odznaczone gwiazdkami idą do góry a odstęp między gwiazdką i przefałdowaniem 70 cent. długi stanowi złożenie beduinowe. Suknia przedstawiona na rycinie 33 jest z mięsistego wełnianego materyału, z 13 cent. szerokiem przybraniem u dołu. Rękawy, środkowe części pleców i wielka kokarda przy draperyi są z aksamitu.

N. 34. Suknia princesse z upięciem nakształt szarf.

Odszyta jest z ciemno-zielonego wełnianego materyału; u dołu sukni dane przybranie 26 cent. szerokie, złożone z drobniutkiego plisowania 11 i 6 cent. szerokiego z materyi faille i 9 cent. szerokiej riuszy układanej w kontrafałdy z tego co suknia materyału. Wązkie rękawy zakończone takim samym garnirunkiem 7 cent. szerokim; na sukni naszyte są wzdłuż pleców i z przodu na długość stanika z baskiną plisy aksamitne 4 cent. szerokie. Upięcie idące do klinów bocznych i związane nakształt szarf na tylnym brycie princesse, wymaga dwóch kawałków aksamitu, podszytych materyą po 80 cent. długich a 40 cent. szerokich, które wszyte są na szwach bocznych o 50 cent. poniżej stanu a u dołu sukni złączone kokardą ze skosu 10 cent. szerokiego.

Opis do N. 51.

N. 1—3. Ubrania do ślizgawki.

N. 1. Ubranie z ciepłem vêtement dla niedorosłej panienki.



N. 1—3. Ubrania do ślizgawki.
N. 1 Suknia z vêtement dla młodej panienki. N. 2. Ubranie z pledem dla chłopca. N. 3. Sukieneczka z paletocikiem dla dziewczynki.

Najdogodniejsza do ślizgawki suknia do kostek formą princesse; na modelu odrobiona była z wełnianego materyału; spódnica u dołu oszyta plisowaniem i szeroką marszczoną falbaną z nagłówkiem. Spacerowe vêtement formą princesse; dochodzące do garnirunku spódnicy robi się z sukna, z mousse, z veloursu albo z aksamitu, tego co spódnica koloru, na flanelowej podszewce. Zapięcie dane być może z przodu lub z tyłu jak na ryc. 1, oszycie zaś daje się z futra, piór prawdziwych albo z fabrycznego wyrobu naśladującego pióra. Czapeczka sukienna albo aksamitna z takiem jak vêtement obłożeniem, ubrana kitką i piórem białem.

N. 2. Ubranie z pledem, dla chłopczyka.

Nietylko dla niedorosłych chłopców, lecz i dla panów bardzo używane i dogodne są do ślizgawki pledy, włożone w sposób wskazany na ryc. 2; jako dające ciepło a nie ciężkie i nie krępujące ruchów. Pled ma zwykle 75 cent. szerokości a 250—300 długości, złożony wzdłuż we dwoje, zakłada się środkiem od przodu w koło figury, krzyżuje w górę na plecach, przekłada przez ramiona i przewłóczy końce z przodu pod opasaniem.

N. 3. Ubranie z paletocikiem, dla małej panienki. Krój paltocika podług ryc. 3—4 w N. 47.

Wełniana sukienka formą princesse wycięta jest u dołu w zęby, pod które podszywa się szerokie plisowanie. Paletocik z veloursu albo mousse, z futrzanym kołnierzem mankietami i patkami przy kieszeniach. Kapelusik aksamitny z rondkiem z przodu w górę podniesionem i podszytem materyą kolorową.

N. 4—5. Paletot z wcinanemi plecami. Krój ryc. 5—7 w N. 46 Tygodnika.

Ryc. 4 przedstawia z przodu paletot luźno wcinany, z ciepłego, zimowego materyału nakrapianego na podobieństwo neige, przybrany czarnym aksamitem. Na wierzch zachodząca zwierzchnia połowa przodu, jest trochę węższa od spodniej, tak ażeby 6 cent. szeroka plisa aksamitna, wypadała na środek. Pod plisą od spodu przyszywa się listewkę z obrobionemi dziurkami, do zapinania paltota na małe kryte guziczki. Szersza, pod spód zachodząca połowa przodu, przybrana jest szpiczasto zakończonemi patkami aksamitnemi, 6 cent. szerokiemi, których długość zmniejsza się stopniowo, od 30 do 20 centymetrów. Rękawy zdobią dwie plisy 10 cent. szerokie, z wierzchu przepięte patką z tego co paletot materyału, parę razy ostębnowaną i naszytą 3-ma guziczkami. Również stębnowany kołnierz, 10 cent. szeroki, zdobią wszyte z przodu trójkąty aksamitne. Na ryc. 5 widzimy plecy paltota oszywanego taśmą jedwabną 5 cent. szeroką, przybranego małemi szmuklerskiemi guzikami i puklami płaskiemi ze wstążki repsowej, 7 cent. szerokiej.

N. 8—9. Koronka irlandzka do wachlarza.

Ryc. 9 przedstawia w zmniejszeniu formę i całość koronki do przykrycia wachlarza, na którą część desenia w naturalnej wielkości, przedstawia ryc. 8, wraz ze wskazaniem rodzajów kratek i dwojakich tasiemeczek. Zewnętrzny brzeg koronki ma 80 cent. obwodu; deseń najlepiej rysować od obydwóch brzegów do środka w którym najłatwiej zmienić go trochę i dopasować podług formy.

N. 10—11. Szlaczki do ryc. 23 i 24 w N. 52 Tygodnika.

N. 12—13. Szkatułka do wachlarzy i rękawiczek. Nakrapiane malowanie na drzewie.

Ryc. 12 przedstawia szkatułkę otwartą, której podłużny bok odkłada się w sposób wskazany, a wnętrze wysłane jest lekko watowaną i pikowaną, jedwabną podszewką, na której w środku na wieku można złotem lub jedwabiami wyhaftować monogram.

N. 14—15. Monogramy do znaczenia bielizny stołowej, prześcieradeł, poszewek i t. p. Ścieg krzyżowy i w kwadraty.

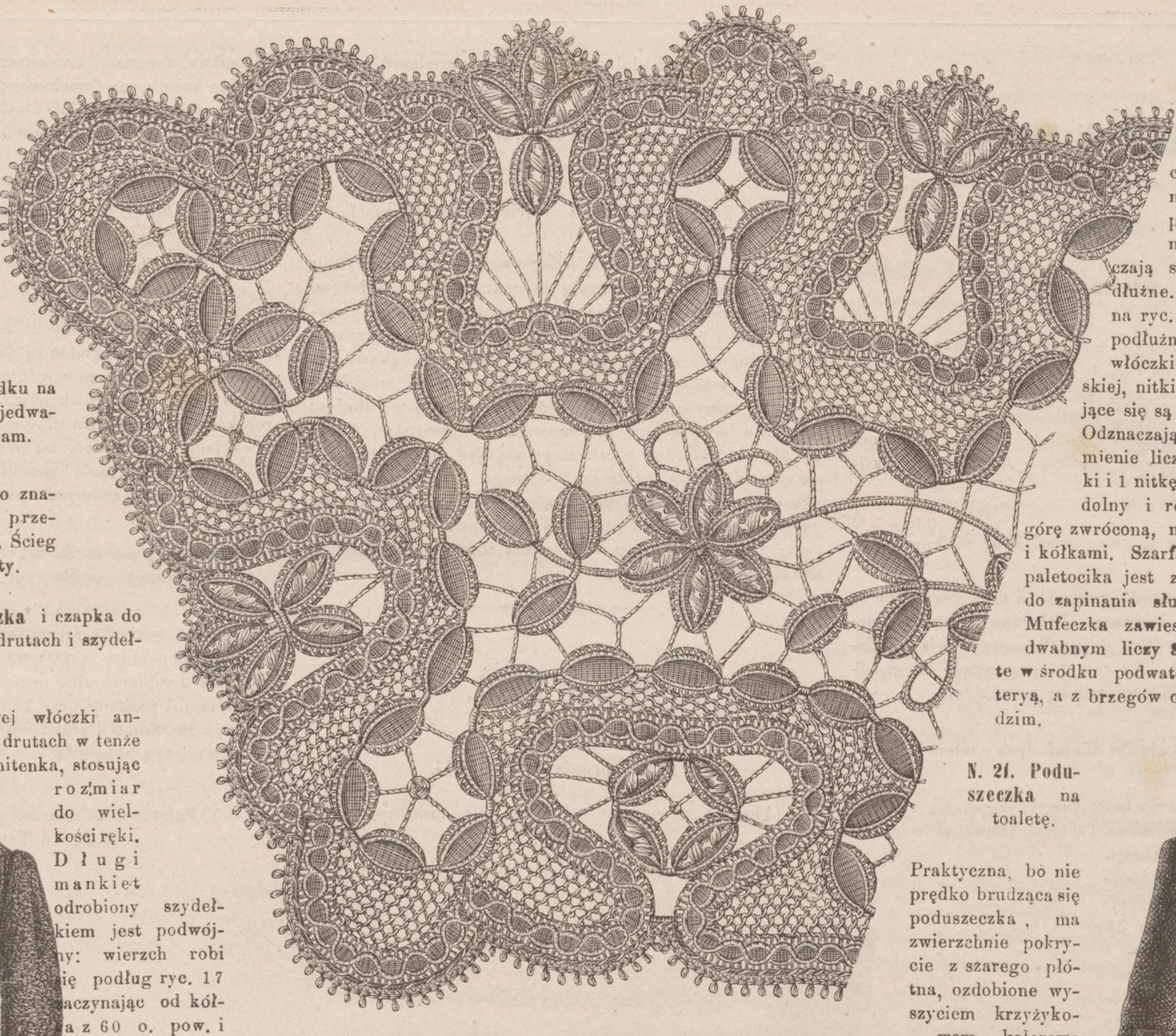
N. 16—19 i 23. Rękawiczka i czapka do polowania. Robota na drutach i szydełkiem.

Rękawiczka z piaskowej włóczki angielskiej robiona jest na drutach w tenże sam sposób jak damska mitenka, stosując rozmiar do wielkości ręki. Długi mankiet odrobiony szydełkiem jest podwójny: wierzch robi się podług ryc. 17 zaczynając od kółka z 60 o. pow. i ujmując przez całe oczy; 36 obrobień w koło dostateczne jest na wierzch mankieta, podszewka składała się z 14 rzędów sł. rozdzielanych 1 o. pow. obwód zaś zmniejszony jest o cztery oczy. Rękawiczka taka praktyczna jest w zimie dla panów mieszkających na wsi i lubiących powozić.

Czapek nie opisujemy szczegółowo gdyż robota ich jest niezmiernie łatwą, liczbę o. przy zaczęciu i gubiąc w górze trzeba zastosować do objętości głowy; przedstawiona na ryc. 18 czapka zaczęta była na 124 o. i liczyła 69 obrobień ściegiem patentowym; w górze jest trochę zagubiona i po zakończeniu oczek zeszyta od lewej strony. Dolna połowa czapki zasłaniająca szyję składa się z dwóch pasów ściegu patentowego, rozdzielonych pasem roboty szydełkowej, wskazanej na ryc. 19. W szlaku tym na tle czarnem tunetańskiem odznaczają się pentelki z włóczki popielatej, liczące po 3 o. pow., przedzielane ocz. z włóczki czarnej; strzałka na ryc. 19 wskazuje kierunek przeprowadzenia nitki; oczka będące na szydełku przerabiają się tunetańskim łańcuszkiem. Czapka na ryc. 23 przedstawiona, może służyć do podróży i zamiast długo spadającego brzegu ma tylko szlak szydełkowy.

N. 20. Paletocik i mufka robotą w ramach, dla małej dziewczynki.

Potrzeba najpierw dopasować formę paletocika, wyciąć ją z papieru i po skończeniu roboty w ramach podłożyć formę na wierzchu i krajać tak jak z materyału. Wzór tła podamy w N-rze 52 na ryc. 30. Każda część paletota powinna na około brzegów być przeciągniętą mocną nitką, do której zakończają się wszystkie nitki podłużne. Tło przedstawione na ryc. 30 składa się z nitek podłużnych podwójnie wziętej włóczki cienkiej niebieskiej, nitki poprzeczne i krzyżujące się są z włóczki angielskiej. Odznaczające się grubsze promienie liczą po 15 nitek włóczki i 1 nitkę filozeli białej. Brzeg dolny i rękawki ozdobione w górę zwróconą, nieprzecinaną frendzlą i kółkami. Szarfa przewiązująca plecy paletocika jest z niebieskiego atlasu; do zapinania służą guziczki atlasowe. Mufeczka zawieszona na sznurze jedwabnym liczy 30 cent. długości, jest też w środku podwatowana i podszyta materyą, a z brzegów objęta puszkiem łabędzim.



N. 8. Część koronki do wachlarza.



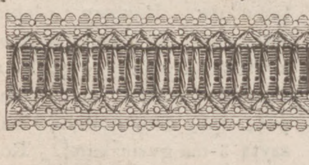
N. 4. Paletot z wcinanemi plecami. Przód. Patrz ryc. 5.



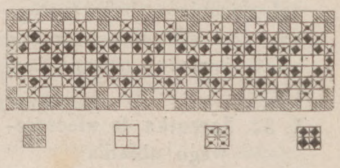
N. 6—7. Modne parasole.



N. 5. Paletot z wcinanemi plecami. Patrz ryc. 4.



N. 10. Szlaczek wyszyty na kanwie papierowej; opis w przysz. N-rze.



rubin., mlecz., stalowy, czarny.

N. 11. Deseń szlaczku wyszytego perełkami opis w N-rze przysz.



N. 12. Kasetka na wachlarze i rękawiczki, ozdobiona robotą nakrapianą. Patrz ryc. 13.

N. 21. Poduszeczka na toaletę.

Praktyczna, bo nie prędko brudząca się poduszeczka, ma zwierzchnie pokrycie z szarego płótna, ozdobione wyszyciem krzyżykowem, kolorową bawełną. Wzory takiego haftu znajdą czytelniczki w przeszłych N-rach; brzegi otacza niciana koronka 5 cent. szeroka, przerabiana tym co haft kolorem.

N. 22. Teka do nut.

Materyał: tektura, szare płótno, ponsowa włóczka, taśma ponsowa.

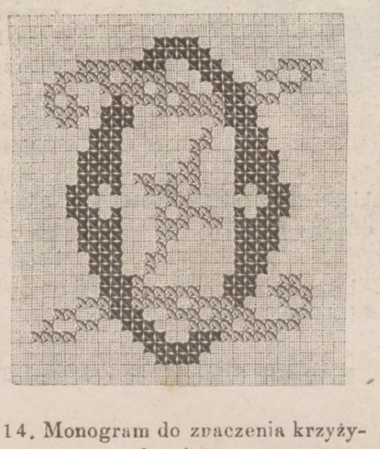
Boki teki składają się z dwóch kawałków tektury po 36 cent. szerokich i po 28 cent. wysokich; na pokrycie użyte jest szare płótno, które kraje się w jednym ciągu z wykładem przy zewnętrznej kieszonce na 44 cent. wszerz a 68 wzdłuż; na kieszonkę potrzeba kawałka 47 cent. szerokiego a 28 długiego, na sufléty boczne naddaje się po kilka cent. Deseń wyszywa się włóczką ponsową, podług ryc. 31 w N-rze 52. Wykończenie teki dopełnia się podług ryc. 22.

N. 24—25. Ubranie wizytowe.

Suknia princesse z blado różowej materyi ozdobiona jest u dołu plisowaną falbanką tiulową, powyżej 18 cent. szerokiem plisowaniem z materyi na którem dana potrójna plisa i frendzla sznelowa jedwabna. Draperya przerzucona na sukni, upięta jest ze skośnego kawałka materyi, obrąbionego na prawą stronę i o-



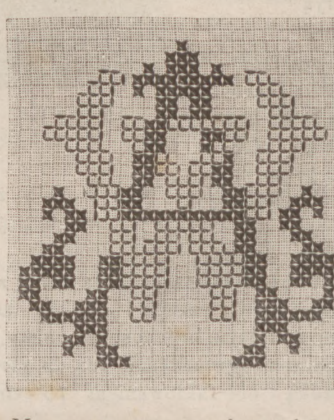
N. 9. Koronka do wachlarza. Część w naturalnej wielkości podaje ryc. 8



N. 14. Monogram do znaczenia krzyżykami.



N. 13. Kasetka na wachlarze i rękawiczki. Patrz ryc. 12.



N. 15. Monogram znaczony krzyżykami i kwadracikami.

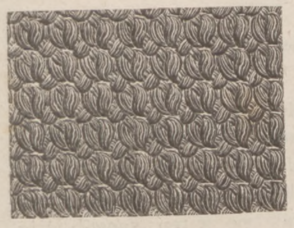
szytego ‐snelową frendzlą. Fantazyjne upięcie z każdej strony inne dopełnia się podług ryc. 24—25; kokardy są z tej co suknia materyi. Rękawy półdługie z tiulowem plisowaniem; wachlarz zawieszony na ponsowym jedwabnym sznurze.

N. 26—27. Modne uczesanie wieczorowe.

Nawet średniej wielkości włosy wystarczą na to uczesanie złożone z trzech dużych pukli na wierzchu głowy i z kilku stopniowej wielkości loków, spadających na szyję. Od czoła włosy rozebrane są z boku i lekko odwinięte od skroni do tyłu; skromne przyozdobienie głowy stanowi przypięta z boku gałązka róży i grzebień wsunięty po nad lokami.

N. 28—30. Wielki kołnierz i mankiety z siatki gipiurowej.

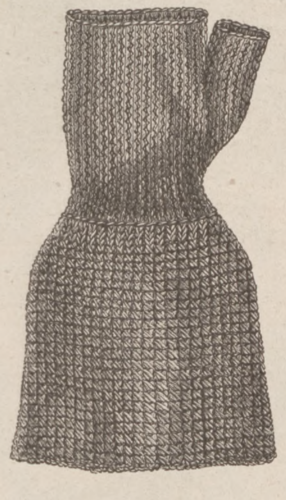
Na rycinie 28 i 29 przedstawiliśmy wzór modnego kołnierza (filet antique) i odpowiednie do niego mankiety, do zakładania na wierzch rękawów, które są prawie obcisłe. Rycina 30 załącza deseń siatki na połowę mankieta; siatka zaczyna się od przedniego brzegu na 77 oczek i przerabia tam i napowrót 22 razy, wyżej gubiąc odpowiednio do formy trójkąta. Połowa kołnierza podana będzie na arkuszu z krojami do N. 1 i 2, roku przyszłego; siatkę zaczyna się od środka tylnego zęba, przybierając po 1 o. w każdym rzędzie aż do potrzebnej szerokości, dalej przednie połowy kołnierza robi się tak jak na kwadrat tj. przybierając z jednego a gubiąc z drugiego brzegu. Brzegi wykończonego kołnierza i mankietów oszyte są fabrycznemi pikotami.



N. 17. Robota szydełkowa na mankiet do ryc. 17.

N. 31—32. Haft na poduszkę do kanapy.

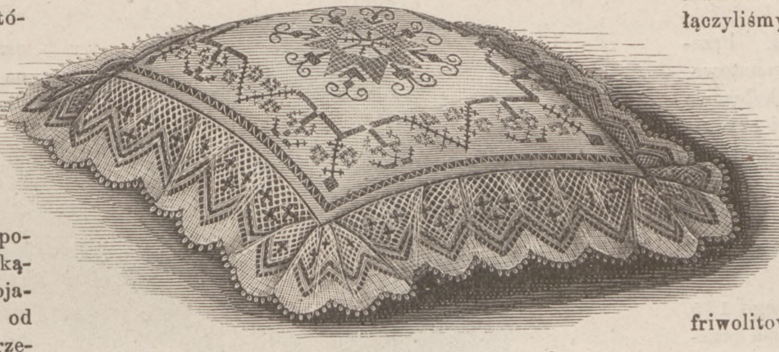
Za tło służyć może aksamit lub sukno białe; haft odrobiony jest ściegiem płaskim i sznureczkowym, niekręconym jedwabiem. Rycina 32 podaje w naturalnej wielkości jedną gałązkę a na ryc. 31 widzimy całość haftu w maleńkim formacie.



N. 16. Rękawiczka męzka do polowania. Patrz ryc. 17.



N. 20. Paletocik i mufka robotą w ramach.



N. 21. Poduszeczka na toaletę.



N. 22. Teka do nut.



N. 23. Czapka do polowania lub podróżna. Robota na drutach i szydełkiem. Patrz ryc. 19.



N. 18. Czapka do polowania lub do drogi, z osłonięciem na szyję. Patrz ryc. 9 i 23. Robota na drutach i szydełk.

Opis do N. 52.

N. 1—6. Stoliczek okrągły z przykryciem haftowanem oszytem frendzlą macramé.

Materyał: płótno piaskowe, nici glansowane N. 60, szafirowa bawełna N. 40; szare nici kordonkowe N. 20.

Zgrabny stoliczek z nóżkami toczonemi, czarno politurowanemi ozdobionemi złoceniem, ma okrągły blacik 31 cent. średnicy liczący przykryty serwetką z szarego płótna z haftem w guście weneckim. Rycina 6 załącza w naturalnej wielkości deseń haftu, w którym jak widzimy zmieszane są bardzo gustownie rozmaite rodzaje ściegów; rycina 5 i 4 podaje frendzlę i torsadę robotą wiązaną macramé na ryc. 2 i 3 załączyliśmy wzór czółenek do nawijania nici Czółenka takie można przysposobić sobie własnoręcznie z drzewa lub fiszbinu i okleić z wierzchu materyą; są one bardzo podobne do czółenek używanych przy robocie friwolitowej.



N. 19. Robota szlaku szydełkowego do czapki ryc. 23.

N. 7—9. Kapelusze zimowe.

N. 7. Kapelusz z szerokiem z przodu przeciętem rondem.

Oryginalna ta forma odpowiednia jest dla młodych osób; model przedstawiony na ryc. 8 jest z granatowego aksamitu, rondko przecięte z przodu leży płasko nad czołem,



N. 23. Ubranie wizytowe. Suknia princesse z draperyą. Patrz ryc. 25.



N. 25. Ubranie wizytowe. Suknia princesse z draperyą. Patrz ryc. 24.



N. 26. Modne uczesanie. Patrz ryc. 27.



N. 28. Wielki kołnierz siatkowy (filet antique). Patrz ryc. 29 i 30.



N. 27. Modne uczesanie. Przód na ryc. 26.

a z boków odwija się stopniowo co raz wyżej. Przecięcie przysłania wielkie strusie pióro ciemno-granatowe, wysunięte aż do czoła; z prawego boku dane kolorowe skrzydełko; wierzchem niezbyt wysokiej główki przewinięty jest skos materyi przerabianej sznelą, spuszczony z tyłu w parę pukli.

N. 8. Kapelusz aksamitny z bufowaną główką.

Na pokrycie rondka potrzeba skosu aksamitnego 125 cent. długiego, a 25 szerokiego, z którego brzegiem przemarszczona jest wąziutka bufka dana podwójnie na około rondka. Główka fałduje się z okrągłego kawałka, podszytego materyą, łączy się z rondkiem i opasuje skosem aksamitnym 3 cent. szerokim. Jedyne przybranie stanowi wielkie białe strusie pióro.

N. 9. Kapelusz filcowy. Skos aksamitu 16 cent. szeroki, złożony w fałdy, opasuje główkę 10 cent. wysoką i złączony jest z boku sutą kokardą, środkiem której przypięta gałązka róży i fantazyjne skrzydełko; 5 cent. szerokie rondko oszyte grubą plecioną torsadą, z tyłu główki przewiązaną w węzeł i zakończoną czterema kwastami.

N. 10. Zarzutka koronkowa do teatru lub na koncert.

Zarzutka taka stanowiąca ładne, fantazyjne ubranie głowy może być upiętą z chustki lub szalika. Na ryc. 10 widzimy zarzutkę z jedwabnego tiulu w bogaty deseń, upiętą ze skośnego kwadratu liczącego 170 cent. wzdłuż a 80 w poprzek i oszytego z brzegów 10 cent. szeroką koronką. Podstawę do upinania stanowi trójkąt sztywnego tiulu, oszyty drucikiem, 28 cent. długi a 13 w środku wysoki, na którym zwierzchu dodane są dwie bufki tiulowe, dla utrzymania kokardy i dyademu z kolorowej materyi, naszytego stalkami clair de lune. Kwadrat koronkowy upina się w ten sposób iż jeden róg wypada nad czoło i rzucony jest lekko na bufkę; z boków brzegi są odwinięte i gdzieniegdzie kilkoma ściegami przyczepione; kokardę dodać trzeba podług ryc. 10.

N. 11. Ubranie spacerowe z krótkim paletocikiem.

Suknia princesse z ciemno-zielonego kaszmiru ma u dołu dodany garnirunek 27 cent. szeroki, złożony z plisowania i poczwórnej plisy, powyżej zaś idzie wązkie plisowanie, przeszyte pliseczką. Paletot z popielatego materyału *bouclé* oszyty w koło brzegów futrem ma dodane z przodu szmuklerskie ozdoby, a pod szyją kokardę z wstążki.

(*dok. nast.*)



N. 29. Wielki kołnierz i mankiety filet antique. Patrz ryc. 28 i 30.



N. 30. Połowa deseniu na mankiet siatkowy (filet antique) do ryc. 29.



N. 31. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 32.



N. 32. Bukiet haftowany ściegiem płaskim, do ryc. 31.